

MARCIN KULA
Uniwersytet Warszawski
Akademia Leona Koźmińskiego

CZY KOMUNIZM TKWIŁ W NAS?
ROZUMOWANE WSPOMNIENIA HISTORYKA
O DAWNYM ZAKŁADZIE PRACY*

W Związku Radzieckim śpiewano piosenkę „Lenin jest w tobie i we mnie”. W nawiązaniu do niej, po upadku komunizmu, w jednej z moskiewskich galerii sztuki w 1998 r. zorganizowano happening, którego uczestnicy zjedli Lenina uformowanego z ciasta i kremu przez artystę Jurija Szabielnikowa. Tym razem Lenin naprawdę znalazł się w nich. Jeśli jednak odejść od dowcipów, sprawa nie przedstawiała się tak prosto, a pytanie o stopień wchłonięcia różnych elementów komunizmu, wręcz o utożsamianie się z nimi, można zadawać na poważnie w odniesieniu do wielu z nas, w tym także w odniesieniu do kontestatorów i przeciwników minionego ustroju. Nie da się żyć latami oraz funkcjonować zawodowo w formach i treściach danych, nie przesiąkając nimi w żadnym stopniu. Dokładniej mówiąc: udaje się to rzadko.

Dziś łatwo zarzucać rozlicznym buntownikom, że w pewnych okresach nie dystansowali się od komunizmu. Jednak takich ludzi, którzy utrzymaliby się jako immunizowani na wszelkie niepożądane wpływy 24 godziny na dobę przez 45 lat, było mało — nawet jeśli inni nieraz nie zdają sobie sprawy, jak silnie też przesiąkli. Funkcjonujące u nas koncepcje „dwojmyślenia”, kolaboracji i oporu, najczęściej są zbyt proste dla opisanego rzeczywistości w warunkach ustroju nie-

Adres do korespondencji: j.m.kula@uw.edu.pl

* Punktem wyjścia do zarysowania niniejszych wspomnień był wywiad, który przeprowadził ze mną Adam Leszczyński (*Z PRL-em jak z mrówkami faraona*, „Gazeta Wyborcza”, 27–28 marca 2010), oraz artykuł *W PRL: życie na niby?*, przeznaczony do zbiorowej całości, o którego napisanie poprosiła mnie Joanna Wawrzyniak. O poruszonych niżej zagadnieniach pisali m.in. Piotr Hübner, Zbigniew Romek, Rafał Stobiecki. Spośród niedawno wydanych podstawowych opracowań zob.: Ryszard Herczyński, *Spełnana nauka. Opozycja intelektualna w Polsce 1945–1970*, Wydawnictwo Naukowe Semper, Warszawa 2008; Tadeusz Paweł Rutkowski, *Nauki historyczne w Polsce 1944–1970. Zagadnienia polityczne i organizacyjne*, Wydawnictwa UW, Warszawa 2007.

demokratycznego. Już choćby funkcjonując w danych ramach, w pewnym sensie podtrzymywaliśmy komunizm. Przecież nawet jeżdżąc na Zachód — o czym niżej — pokazywaliśmy liberalną twarz systemu, na czym jego elicie nieraz zależało. A jednocześnie jeżdżąc — najczęściej oddalaliśmy się od komunizmu. Takie to właśnie było — skomplikowane i ambiwalentne.

Zagadnienie stopnia przesiąknięcia komunizmem mogłoby być pasjonującym, ale zarazem trudnym problemem badawczym. By go zawęzić i urealnić, spróbuję zadać pytanie, w czym przejawiał się komunizm w miejscu pracy, gdzie jako historyk spędziłem 22 lata (1968–1990), a więc prawie wszystkie lata, które przepracowałem w ustroju komunistycznym. Owym miejscem był Instytut Historii PAN. Dokonam swego rodzaju rozszerzonej autowiwisekcji. Moje doświadczenia były oczywiście indywidualne, ale nawet jako takie mogą być charakterystyczne także dla innych pracowników, wśród których był między innymi Bronisław Geremek. Nieskromnie myślę, że mogą mieć też walor dla refleksji nad losami środowiska historyków.

Istotne jest zwrócenie uwagi na lata graniczne, jakich moje wspomnienia dotyczą. PRL, mimo nieziennej, betonowej struktury podstawowej, poważnie ewoluowała. Wspomniany okres zaczął się wprawdzie fatalnie (1968), ale wkrótce przyszło gierkowskie rozluźnienie, którego skutki dały się dostrzec nawet w kolejnym fatalnym momencie (1981). Podstawowe dla okresu 1968–1989 było zmniejszenie stopnia ideologizacji naszej egzystencji — co stanowiło nie najmniej ważny czynnik akurat w instytucie badań historycznych. Dyktatura pozostawała dyktaturą — ale bardziej pragmatyczno-polityczną niż motywowaną ideologią. Tej ostatniej („prawd wiary”) nikt oczywiście nie odwołał, ale władze szukały już innej legitymacji do rządzenia. W kwestiach ideologii oraz humanistyki dyktatura w większym stopniu wyrażała się we wciąż istniejących, choć obniżonych, barierach stawianych wypowiedziom niż w oczekiwaniu przyłączenia się do pożądanego wizji. Istotne było także, ażeby w treściach nie prowokować i nie rozpowszechniać nadmiernie szeroko niektórych z nich, pozostawiając je w sferze naukowej.

W latach, o których mowa, przywrócono już prace doktorskie i stopnie doktorskie, zamiast jednych i drugich też doktorskich, ale z radziecka nazywanych kandydackimi. Przywrócono już nawet habilitacje. Nie organizowano już akademii ku czci kogoś lub dla uczczenia jakiejś rocznicy (choć niektóre akademie ewoluowały w sesje naukowe lub zbliżone, co pozostało aktualne do dziś). Z pochodów pierwszomajowych zapamiętałem może jeden lub dwa, w których uczestniczyłem. Nie były to już czasy, kiedy wszyscy uważali, że lepiej pójść na pochód. Jeżeli dobrze pamiętam, ani kolumny PAN, ani kolumn uczelni nie otwierali już naukowcy lub studenci z szarfami „przodownik pracy”.

Nie były to już czasy umacniania „sojuszu miasta ze wsią” poprzez wyprawy inteligencji i robotników na wieś. Organizowano je w początku lat pięćdziesiątych w wielu instytucjach, może w PAN-ie też. Pod koniec czasów, o których

piszę, Instytut zaczął robić innego typu wyprawy na wieś — po różnego typu zaopatrzenie, o czym niżej.

Za moich czasów nie organizowano już w Instytucie zebrań produkcyjnych. Jedyne, jakie pamiętam, zebranie dla porozmawiania o sprawach Instytutu zorganizowano dopiero u schyłku systemu (dokładnie: 30 marca 1988), w obliczu „pierestrojki” Gorbaczowa, po protestacyjnym liście pewnej liczby akademików i profesorów z Wydziału I PAN przeciw stosunkom panującym w tym wydziale¹. Nie było też szkoleń ideologicznych kończonych sprawdzianami. Kiedyś próbowano szkolić w zakresie marksizmu nawet członków prezydium PAN; mieli oni prawo do uprzywilejowanego kursu pod kierunkiem jednego z większych idiotów w historii nauki polskiej. Gdy dziś czyta się zestawy pytań egzaminacyjnych stawianych w Instytucie przed 1956 r. pod koniec tych szkoleń, to trudno zrozumieć, jak o coś takiego można było pytać (chyba że na zasadzie „Wicie, rozumicie”)².

W omawianych latach zmniejszył się poziom strachu wśród ludzi. Oczywiście, czy to w 1968 r., czy po wprowadzeniu stanu wojennego było czego się bać — ale nie był to już strach porównywalny z tym z początku lat pięćdziesiątych. Pojawiła się ironia, wręcz kpina. Pamiętam, jak podczas lampki wina z okazji pięćdziesięciolecia prof. Tadeusza Łepkowskiego (1977) wzniosłem w jego pracowni w IH PAN toast: „Ażeby Pan Profesor rósł w siłę, a jego uczniom, by się żyło dostatniej!”. Paru uczestników spotkania skręcało się ze zduszonego śmiechu na tę parafrazę hasła Gierka „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej!”.

BAZA

Podstawowym dla marksistowskich nauk społecznych było rozróżnienie na „bazę” (stosunki produkcji, czyli — z grubsza biorąc — materia oraz stosunki własności i zasady gospodarowania) oraz „nadbudowę” (z grubsza biorąc — myśl). By nie wpaść w grzech ahistoryzmu, czyli grzech z zakresu nadbudowy, podzielę swoją refleksję na część, która dotyczy bazy, i tę skupioną na nadbudowie. Może zbyt arbitralnie zaliczę jedne składniki sytuacji do bazy, a inne do nadbudowy. Niech mnie jednak usprawiedliwi fakt, że w marksizmie i w komunizmie też niekiedy rodziły się wątpliwości w tej sprawie. W kwestii tego, czy język stanowi część bazy, czy nadbudowy, zabrał głos sam Stalin — dzięki czemu zyskał miano „genialnego językoznawcy”. Nawet on nie rozstrzygnął jednak tej fundamentalnej kwestii, gdyż stwierdził, że ani do nadbudowy, ani do bazy, choć jest związany z siłami wytwórczymi (*W sprawie marksizmu w językoznawstwie*, 1950).

¹ Marcin Kula, *Instytut*, „Dzieje Najnowsze” 1989, nr 2, s. 261–265.

² Zestaw takich pytań z Instytutu przedrukowałem w: Marcin Kula, *Religiopodobny komunizm*, Nomos, Kraków [2003], s. 160–162.

Podstawowy element bazy, w której było osadzone moje miejsce pracy, stanowiło istnienie PAN. Jeśli pytamy, jakie elementy naszego funkcjonowania wynikały z komunizmu, to wzrok kieruje się natychmiast ku PAN. Struktura ta powstała w ramach stalinizacji nauki polskiej, na gruzach innych, rozbitych historycznych struktur. Miała zapewnić właściwy kształt nauki. Była wzorowana na Radzieckiej Akademii Nauk, a w konsekwencji przedstawiała się prawie identycznie we wszystkich krajach „obozu pokoju i socjalizmu” („ze Związkiem Radzieckim na czele”). Stąd płynęła techniczna łatwość komunikowania się urzędników poszczególnych akademii, podpisywania umów itd. — ale też brak żelaznego tematu, jakim mogłaby być organizacja bratnich ciał w wypadku spotkań ich wysokich przedstawicieli z różnych „Krajów Demokracji Ludowej”. Skoro organizacja była prawie identyczna, to temat po prostu szybko usychał.

PAN miała być nie jedną z instytucji naukowych w kraju, ale instytucją czołową, a zarazem faktycznie ministerstwem nauki. Wśród celów tej centralizacji były przewożenie i kontrola — nad wszystkim, także nad instytutami, które w bardzo wielu sprawach nie miały przecież samodzielności. W PRL nie mogły istnieć dwie instytucje lub organizacje niezależne choćby tylko od siebie nawzajem — bowiem pluralizm był czymś niedobrym. Równie dobrze jak instytutów naukowych dotyczyło to, dajmy na to, organizacji turystycznych. Zaistnienie po 1956 r. paru organizacji młodzieżowych było karygodną anomalią, wynikłą ze swego rodzaju wypadku przy pracy (rozpad Związku Młodzieży Polskiej i poświęcenie jego resztek na straty w ramach demonstracji zmian). Po pewnym czasie tę anomalię zresztą naprawiono.

Jak wszystko w PRL, tak i ta koncepcja szczęśliwie została jednak zrealizowana ułomnie. W czasie gdy przyszedłem do pracy w PAN, rola Akademii była już wyraźnie zmniejszona. Instytut Historii był po prostu jednym z instytutów, dla których Akademia była drogą, biurokratyczną i po prawdzie zbędną czapką. Dla ratowania koncepcji wymyślono komitety naukowe przy PAN, które miały centralizować badania uprawiane w ramach poszczególnych dyscyplin naukowych w różnych ośrodkach. Nie były jednak owe komitety szczególnie groźne; czasem okazały się zbyteczne, a czasem po prostu ledwo istniały. Rzadko działały z pożytkiem dla czegokolwiek.

Drugi element koncepcji wynikał z założenia, że wszelka nauka powinna podzielić się na sektory. Pierwszym winien być sektor jej tworzenia (Akademia). Drugim miał być sektor nauczania. Uczyć miały uczelnie, najlepiej uformowane jako kształcące w praktycznych zakresach dla poszczególnych resortów. W początku lat pięćdziesiątych chętnie widziano uczelnie jako swego rodzaju wyższe szkoły zawodowe, w miarę możliwości ujednoliczone, z identycznymi uprawnieniami, w których pigułkę wiedzy przekazywano na wykładach.

Trzecim elementem koncepcji było utworzenie sektora popularyzacji. W Polsce reprezentowało go Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, w swoim czasie instytucja (teoretycznie: organizacja) o dużej wadze.

W konsekwencji powyższych założeń w instytutach PAN nie było dydaktyki. Nieraz nawet najlepsi badacze nie mieli kontaktów ze studentami, podczas gdy humanistyczne instytuty (innych nie znam) poniekąd jałowiały z braku kontaktów z młodzieżą. Tworzyła się spetryfikowana struktura, w której nieliczni nowo przyjmowani (w momencie przyjęcia, z natury rzeczy często młodzi) posuwali się w wieku, ale w gruncie rzeczy pozostawali wiecznymi czeladnikami — nominalnie wciąż młodymi ludźmi, od których nie oczekiwano szerszej inicjatywy. Wiadomo, że w ogóle w historiografii jest się młodym i obiecującym prawie do emerytury, a potem przechodzi się na emeryturę; jedyne pytanie dotyczy tego, czy w pierw przestaje się być młodym, czy obiecującym? W Instytucie zjawiska petryfikacji oraz starzejącej się młodości były jednak bardzo silnie zaznaczone. Po prostu model był chybiony; dla takiej aktywności jak instytutowa właściwie wystarczyłaby Kasa Badań Historycznych. Nawet jeśli koledzy byli najmądrzejszymi ludźmi pod słońcem, to nie można było bez negatywnych konsekwencji intelektualnych spotykać się na zebraniach pracowni raz na tydzień przez dwadzieścia lat w tym samym gronie, na dodatek stopniowo przestającym grupować młodych. Przystawanie z tymi samymi ludźmi postępującymi w wieku przez lata całe było niehigieniczne mentalnie. W takiej konfiguracji praca nad własną tematyką, a najczęściej własnym wąskim tematem, prowadziła do zawężania perspektyw. Wydajność pracy wyłącznie gabinetowej na ogół zmniejszała się w braku bodźców, twórczość stawała się mniej ciekawa. Na dodatek — przynajmniej wtedy, kiedy te sprawy widziałem z bliska — każda z pracowni zdążyła obwarować się chińskim murem. Nadmierna, moim zdaniem, specjalizacja prowadziła do rezultatów kontrprodukcyjnych. W Polsce od dawna istnieją chińskie mury między dyscyplinami. W omawianym wypadku oddzielały się nawet fragmenty dyscyplin (oczywiście w imię fachowości, jakże by inaczej!). W Instytucie z pewnością funkcjonowała pewna liczba sensownych ludzi, ale ze skupienia specjalistów z zakresu różnych zagadnień pod jednym dachem niewiele wynikało.

Także ta sprawa, jak większość spraw w PRL, szczęśliwie nie została przeprowadzona konsekwentnie do końca. Niektórzy starsi koledzy mieli dwa etaty — na uczelniach i w PAN. Władze walczyły z dwuetatowością, ale bez pełnego skutku. Działanie w tym kierunku nazywało się „monoetatyzacją”. Latem 1968 r. zadziałano, nawet bardzo chamsko, także w kierunku „monoetatyzacji”. Profesor Tadeusz Manteuffel, założyciel i dyrektor Instytutu, ale zarazem ogromnie zasłużony profesor Uniwersytetu Warszawskiego, o „zmonoetatyzowaniu” go w PAN dowiedział się w ten sposób, że na biurku znalazł kopię pisma rektora w tej sprawie do kwestury. Choć był człowiekiem nigdy publicznie nie okazującym uczuć, coś musiało jednak drgnąć w jego twarzy, skoro woźna zapytała potem jednego z kolegów: „Pan Profesor zdawał się dziś jakby zdenerwowany, dlaczego?”. Po ograniczeniu go do Instytutu prof. Manteuffel używał nadal tych samych wizytówek, jedynie przed słowami „profesor Uniwersytetu Warszawskiego” dopisywał literę „b.” (były). Po latach prof. Stefan Kieniewicz

powiedział, że „był to rok, w którym oderwano Instytut Historyczny [UW — M.K.] od Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk i podzielono nas na dwa środowiska, jeśli nie sobie wzajemnie wrogie, to na pewno sobie obce”³.

Mimo chamstwa władzom nie udało się jednak doprowadzić do zajmowania przez wielu pracowników tylko jednego etatu, a różnego rodzaju dodatkowe zajęcia odradzały się. Nadto na zebrania poszczególnych pracowni IH PAN nieraz przychodzili koledzy z innych ośrodków. Między IH PAN a uniwersyteckim Instytutem Historycznym szczęśliwie nie występował konflikt na tle miernoty jednej ze stron — jak między Instytutem Badań Literackich PAN a zawistną polonistyką UW⁴. Mimo to, buntując się przeciw istocie PAN-owskiej struktury, w latach pracy w Instytucie uciekałem na boki. Nie byłem jedynym, który tak postępował. Myślę, że paradoksalnie takie działanie było możliwe tylko w realnym socjalizmie. W porządnej instytucji zachodniej oczekuje się jednak większej koncentracji w jej ramach, nawet jeśli jest oczywiste, iż humanista powinien udzielać się w jakimś stopniu także na zewnątrz. Było jakimś paradoksem, że konferencje w innych placówkach, w których pracownicy Instytutu uczestniczyli, były liczniejsze i, moim zdaniem, ciekawsze niż te, które sami organizowali. Instytut nie dbał nawet o to, byśmy, pojawiając się gdzie indziej, zaznaczali skąd jesteśmy — co w świecie jest standardem.

Prowadzenie zajęć na UW stało się dla mnie możliwe od roku akademickiego 1984/1985. Urwałem się zaś na dobre z Instytutu na uczelnię, gdy tylko jej drzwi się otworzyły (1990). Po 22 latach odszedłem z IH PAN z własnej woli. Mogłem zostać, może nawet z niezłymi perspektywami awansu, gdyby mi na nim zależało. Nigdy nie żałowałem swego kroku — i to mimo że uczelnia też nie jest przecież strukturą idealną (gdyż takich po prostu nie ma). Mówiąc bez owijania w bawełnę, odżyłem w kontaktach ze studentami, szerszym środowiskiem i szerszymi sprawami.

Kolejnym elementem, który można zaliczyć do „bazy”, był i jest budynek Instytutu. Oczywiście IH PAN wszedł do budynku cudzego. Sprawa była może jeszcze bardziej zawiślana niż status większości nieruchomości w Warszawie. Przed wojną Kamienica Książąt Mazowieckich na Rynku Starego Miasta należała do Towarzystwa Miłośników Historii. Po zniszczeniu została odbudowana z zupełnych gruzów, oczywiście z funduszy publicznych. Odtworzono ją z pietyzmem. Można wprawdzie dyskutować nad przyjęciem metody odbudowy historycznej i wskazywać na polityczny cel tego działania. Można przypominać, że jednocześnie niszczało i było niszczone wiele zabytków. Sam jednak cieszę się, że Stare Miasto w Warszawie odbudowano i wolę taką odbudowę niż

³ *Utrzymać równowagę*. Ze Stefanem Kieniewiczem rozmawiają Andrzej Chojnowski i Paweł Śpiewak, „Res Publica” 1990, nr 7–8, s. 63.

⁴ Michał Głowiński, *Kregi obcości. Opowieść autobiograficzna*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 361.

ahistoryczne odtworzenie Rotterdamu lub antyhistoryczne Drezna. Piękno kamienicy nie zmieniało jednak skomplikowania zagadnień formalnych.

W PRL TMH utraciło osobowość prawną, stając się oddziałem warszawskim Polskiego Towarzystwa Historycznego (pod dotychczasową nazwą). Jak była mowa wyżej, wszystko musiało być przecież scentralizowane, a pluralizm był zły także w wypadku organizacji skupiających ludzi zainteresowanych historią. Władze przydzieliły Instytutowi odbudowaną kamienicę. Sprawa wybuchła po upadku komunizmu, gdy TMH odzyskało osobowość prawną i chciało odzyskać własność. Zapowiadał się bardzo ciekawy proces — tym ciekawszy, że wśród jego trzech potencjalnych uczestników (TMH, PTH, IH PAN) występowali przecież koledzy, jeśli w ogóle nie te same osoby. Okazało się jednak, że żadna ze stron nie ma pieniędzy na fachowe ekspertyzy, wpłacenie sum, które wpłaca się z góry w sporach majątkowych, wynajęcie adwokatów itd. Był pomysł przekształcenia kamienicy w Dom Historyka, służący wszystkim zainteresowanym nie tylko *de facto*, ale także *de iure*. Nie wiem, dlaczego upadł i ostatecznie wszystko pozostało po starym.

Instytut finansowany był z budżetu. Oczywiście pensje były niskie — ale, jak w całej gospodarce, tworzyły się dodatkowe kanały dla rozwiązywania także tego problemu. Władzom zależało zresztą na tym, by jak najmniej elementów wszelkiej wyobrażalnej sytuacji było stałych, niezmiennych. Stałe pensje pozostawały zatem niskie, ale wszystkie dodatkowe prace były zaskakująco dobrze płatne. Najważniejsze były dla nas honoraria autorskie — wypłacane według długości tekstu (artykułu czy książki). Takie rozwiązanie mogło tłumaczyć zarówno pasję pisarską niejednego z nas, jak i przewagę długich form. Warto pamiętać, że większość obowiązków w instytucie humanistycznym pozostawia dużą swobodę czasową.

Referowany system nie zaskakiwał na tle innych norm wynagrodzeń. W końcu rzeźbiarze byli płatni od wysokości pomników, co w wielu wypadkach tłumaczyło ich strzelisty kształt. Prawda, że czasem niedostosowani koledzy stawiali na przeszkodzie funkcjonowaniu tak znakomitych rozwiązań. Prof. Tadeusz Manteuffel (dyrektor Instytutu!) stał na stanowisku, że honoraria za prace wykonane w samej placówce i publikowane w jej ramach powinny być niższe — bowiem pensja jest już formą zapłaty za prowadzoną działalność. Nie mógł zrozumieć, że czasy się zmieniły (sic!). Był chyba jedynym takim dyrektorem. Pomysł, że za to samo nie można być płatnym dwukrotnie, był prawdziwie karygodny (sic!).

Należności odbieraliśmy w kasie instytutowej lub w kasach wydawnictw. Wpłaty na prywatne konta w PRL pojawiły się bardzo późno. Te spotkania co pierwszego przy kasie były przyjemne. Nagle wszyscy spotykali się w ogonku, kobiety ubierały się ładniej niż na co dzień, a potem szło się na kawę — co stanowiło inteligencką formę opicia wypłaty.

W późniejszej fazie PRL pojawiły się nowe formy finansowania — zewnętrznie nawet przypominające granty. Były to różnego rodzaju „problemy”, na przy-

kład „problemy międzyresortowe”. Polegały one na wyznaczaniu przez władze zasadniczych tematów badań. Te tematy dzielono na podtematy, a z ich realizacją były powiązane elementy finansowania, także pieniądze dla realizatorów. Było to potwornie biurokratyczne i wciąż pozostawiało ster w ręku władz. Pamiętam, że w latach siedemdziesiątych byłem „koordynatorem II stopnia problemu międzyresortowego MR III/10/5”. Mam nadzieję, że ten tytuł pojawi się na dobrym miejscu w moim nekrologu.

Z czasem doszliśmy — jako Instytut — nawet do wytwarzania zysku, które to słowo było absolutnie wyklęte przez większość okresu PRL. Polegało to na tym, że Sekretarz Naukowy PAN (czyli postać ważniejsza niż dekorujący Akademię Prezes) zlecał zadania Instytutowi, a potem „kupował” „produkt”. Chyba nikt nie mógł zrozumieć tego Bizancjum, ale też nic z niego nie wynikało — poza koszmarem biurokratyczno-księgowym.

Instytut był nie tylko jednostką życia naukowego, ale także ujętego w specyficzne ramy życia społecznego. W ideale PRL — szczęśliwie, jak wszystko, nie do końca osiągniętym — człowiek miał być częścią swego zakładu pracy, miał istnieć poprzez ten zakład. Instytucje miały być takimi plastrami miodu z komórkami dla każdego z nas. Stemplowano nam dowody osobiste pieczętąką miejsca pracy. Sam unikałem ostemplowania, dopóki nie zasiadłem za kierownicą samochodu (brak pieczętąki ustawiał źle przy jakiegokolwiek kontroli drogowej, a z kolei pieczętąka PAN ustawiała lepiej).

Poparcie zakładu pracy (lub lokalnej komórki związku zawodowego, nie pamiętam) trzeba było mieć na podaniu o przydział mieszkania — co zabawne, także mieszkania „własnościowego”. Dobrze było mieć rozwinięte poparcie Instytutu (Polskiej Akademii Nauk!) na podaniu o przydział mieszkania czy, powiedzmy, o przydział telefonu. Gdy starałem się o telefon — a byłem wtedy młodym człowiekiem — dyrektor kazał mi samemu napisać brudnopis tekstu. Pisałem go w obecności kolegów, z których każdy, mający swoje doświadczenie, sugerował dopisanie jeszcze jakiegoś argumentu. Z ich zestawienia wynikało, że po prostu muszę mieć telefon dla dobra PRL. Gdy zaniósłem ów brudnopis do dyrektora, pozostało mi tylko zaapelować do jego poczucia humoru. Przeczytał, powiedział coś w stylu „rzeczywiście ma cechy humorystyczne” i podpisał.

Przez Instytut (Akademię) prowadziła jedna z dróg starań o przydział samochodu lub, często, wczasów. Gdy zrobiło się już wyjątkowo marnie z zaopatrzeniem, Instytut organizował nawet jakieś wyprawy po jajka czy inne dobra, do rozprzedaży wśród pracowników. Składano owe dobra w jedynym dobrze zamkniętym pomieszczeniu, czyli w kancelarii tajnej (bowiem była i taka, zorganizowana w pomieszczeniu byleż toalety).

Jak wszystkie instytucje w PRL Instytut był inkorporowany do ogólnokrajowej struktury wojskowej. Jako pracownicy należeliśmy do zakładowego oddziału samoobrony (obrony cywilnej). Jego dowódcą był, zgodnie z pragmatyką, dyrektor, a więc początkowo prof. Manteuffel, który utracił rękę na

wojnie bolszewickiej. Zastępcą dowódcy był, też zgodnie z pragmatyką, sekretarz miejscowej organizacji PZPR (Podstawowej Organizacji Partyjnej, POP), czyli kiedyś Bronisław Geremek — a więc, jak przyszłość pokazała, słaba ostoja komunistycznego państwa. Sam należałem do pododdziału ochrony przeciwpożarowej. Jego dowódcą był kolega, którego zapamiętałem ze studiów jako notorycznie spóźniającego się. Pododdział miał jednak sukcesy. Wykryliśmy, że nasza sygnalizacja pożarowa nie jest podłączona do niczego poza gmachem. No i nadal taką pozostała.

Odbywaliśmy szkolenia obronne, czasem nawet praktyczne. W ich ramach zbiegaliśmy na przykład do schronu. Instytut ma wspaniałe, historyczne piwnice. Służyły one jako atrakcja podczas balów karnawałowych, a dziś wynajęto je na lokal rozrywkowy, podobno z męskim striptisem. Wtedy specjaliści doszli do wniosku, że skoro piwnice przetrwały wojny szwedzkie oraz dwie światowe, to przetrwają też ewentualną trzecią, nawet atomową. Kłopot polegał tylko na tym, że z tych piwnic nie było drugiego wyjścia, koniecznego w przyzwoitym schronie. Pokazano nam zatem miejsce, gdzie ściana dzieląca naszą piwnicę od piwnicy sąsiadującej winiarni Fukiera była najcieńsza i polecono w razie czego przebijać się tam. Młodszy pracownicy Instytutu wyrazili gotowość zrobienia przebicia od razu, na zapas — ale karygodnie nie znalazło to uznania czynników odpowiedzialnych.

Nikt nie traktował poważnie tego cyrku. Jerzy Jedlicki demonstracyjnie czytał gazety podczas szkoleń obronnych. Jedyne podejście do nich serio — dyrektor administracyjny Instytutu — powiedział komuś po cichu: „Gdybym ja okazał, że też sobie kpię, to nie skończylibyśmy tej zabawy nigdy, a ja chciałbym o czwartej pójść do domu”. Także w tym wypadku PRL okazywała się szczęśliwie niekonsekwentna. Może ktoś spośród władz oczekiwał, że przygotujemy się na atak Niemiec Zachodnich oraz Izraela razem wziętych⁵, ale ani w założeniu, ani w wykonaniu, nasze szkolenie nie dawało się porównać z tym, co swego czasu widziałem na Kubie. Tam informacje o kolejnych, realnych ćwiczeniach wojskowych dla pracowników Archiwum Narodowego w Hawanie zobaczyłem nawet przed swoim — ujmijmy to tak — nosem, bezpośrednio nad pisuarem w miejscowej toalecie. Każdy mężczyzna musiał nieuniknienie zobaczyć takie ogłoszenie — i zastosować się do niego. My robiliśmy sobie z obronności „jaja”, nawet gdy nas usadzono jako strażników instytucji na „bramkach” podczas stanu wojennego. Musieliśmy wtedy notować, kto wchodzi do gmachu, i pilnować, by wchodzili tylko swoi.

⁵ Teza o antypolskim sojuszu tych dwóch krajów była ulubionym wątkiem marcowej propagandy. Najwyraźniej została wyeksplikowana w książce: Tadeusz Walichnowski, *Izrael a NRF*, KiW, Warszawa 1967. Była ona *nota bene* pokłosiem pracy doktorskiej obronionej pod kierunkiem prof. Mariana Wojciechowskiego w tymże roku w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Określenie NRF (Niemiecka Republika Federalna) było wówczas stosowane zamiast RFN dla uniknięcia terminu, który *implicite* dyskwalifikował NRD.

NADBUDOWA

Towarzysz Stalin mawiał, że „najważniejsze są kadry”. Przyjrzyjmy się zatem, w jakim stopniu dobór pracowników IH PAN był naznaczony przez komunizm.

Jest bardzo prawdopodobne, że byli tacy koledzy-historycy, którzy ze swymi poglądami pewno nawet nie próbowali przyjść do IH — zwłaszcza jeśli owych myśli nie zachowywali i nie chcieli zachowywać wyłącznie dla siebie. Mnie też nie śniło się, powiedzmy, aspirować wówczas do pracy w MSZ. Bardzo trudno jest dziś ustalić, kto nie został przyjęty spośród tych, którzy się zgłaszali, na dodatek z powodów politycznych. Byłem świadkiem, gdy z powodów niewątpliwie politycznych, mimo bardzo dobrych wyników kolokwium wstępnego, nie przyjęto na studia doktoranckie Antoniego Macierewicza, już wtedy zaangażowanego w działalność opozycyjną. Oczywiście, kłamliwie informowano nas o przyczynach tej decyzji.

Nie mam wątpliwości, że wybitny historyk okupacji Tomasz Strzembosz odszedł z Instytutu (na własną prośbę) z uczuciem ulgi i nie tylko dlatego, że chciał uczyć młodzież — w czym miał zresztą potem duże sukcesy na KUL. Nie zapominam, że Bronisława Geremka ostatecznie z Instytutu wyrzucono, nawet jeśli nie z miejscowej inicjatywy.

Byli w Instytucie ludzie niewątpliwie związani z establishmentem politycznym, także z tym, prącym w górę w 1968 r., którzy marzyli — czasem skutecznie — o awansie w instytutowej hierarchii. Swoją drogą zdumiewa, że nie wybierali sobie efektowniejszej kariery niż w ramach małego instytutu — skoro im na tym zależało.

Jednocześnie przecież było w Instytucie mnóstwo ludzi, którym bądź od początku było nie po drodze z komunizmem, bądź ich dystans doń narastał. W końcu, jak była mowa wyżej, twórcą i pierwszym, wieloletnim dyrektorem był prof. Tadeusz Manteuffel, czyli człowiek o bardzo znaczącej przeszłości AK-owskiej. Do dziś *nota bene* trudno zrozumieć, jak władze zgodziły się na powierzenie mu Instytutu powołanego dla wypracowania marksistowskiej wizji historii Polski; sam zainteresowany im ponad wszelką wątpliwość niczym niegodnym sprawy nie ułatwił. W Instytucie pracowali Jan Rzepecki, czyli szef BiP KG AK, oraz Stanisław Płoski, podczas okupacji kierownik komórki historycznej tegoż BiP. Z ludzi o innym rodowodzie ideowym pracowali koledzy, którzy po marcu i agresji na Czechosłowację wystąpili z PZPR. Długo pracował Geremek — już jako kontestator. W „marcu” nikt z Instytutu nie został wyrzucony. Michał Głowiński, pracujący w IBL PAN, gdzie też było wtedy niezłe, sugeruje w swoich wspomnieniach, że Akademia była przewidziana do „rozrobienia” przez moczarowców w dalszej kolejności, po uczelniach, wydawnictwach i redakcjach⁶. Może tak było. Niemniej jednak w Instytucie bardzo ważna była

⁶ Michał Głowiński, *Kręgi obcości*, cyt. wyd., s. 341.

postawa znacznej części pracowników oraz zwłaszcza prof. Manteuffla. To był człowiek z zasadami, a z nim wszyscy się liczyli — nawet w marcu. Jeszcze przed moją obroną doktorską chciałem Profesorowi uświadomić, że wyznaczony na recenzenta doc. Ignacy Sachs (wówczas z SGPiS, czyli z dzisiejszej SGH) nie może wypełnić tej roli. Wiedziałem, że Sachswie zdecydowali się emigrować — ale proszono mnie o chwilową dyskrecję, więc nie mogłem podać prawdziwej przyczyny. Jako motyw prośby o zmianę recenzenta podałem więc okoliczność, że Sachs stracił kierownictwo zakładu w SGPiS. Prof. Manteuffel spojrział na mnie bardzo surowym wzrokiem i powiedział z grubszą: „To, że doc. Sachs stracił kierownictwo zakładu, nie zmienia faktu, że docentem pozostaje!”.

Przy całym politycznym zróżnicowaniu pracowników Instytutu i mojej nieufności do niektórych z nich wrażenie, jakie odniosłem po przyjeździe do pracy niedługo po marcu, było bardzo pozytywne. Nie było porównania (na szczęście!) z „marcowym” SGPiS, skąd przychodziłem. Na moją obronę doktorską w Instytucie 17 października 1968 r. przyszła masa ludzi — co tłumaczyłem sobie nie tyle własną popularnością, ale szerszą sytuacją. W „marcowej” atmosferze panującej w Polsce obrona stawała się świętem środowiska, a zarazem czymś normalnym w nienormalnym świecie⁷. Ten i ów z gości pozytywnie zauważył nawet fakt wzmiankowania przeze mnie w odpowiedziach, jakby nigdy nic, nazwiska prof. Sachsa, wówczas już wyklętego. Po wyrzuceniu w ramach „marca” Natalii Karpowskiej, kierowniczki Redakcji Historii PWN, elita polskich historyków przyszła do niej z kwiatami. To był czas, gdy nowe, pomarcowe kierownictwo tej redakcji mówiło o niej per „ta Żydówka”. To był czas, gdy nowe kierownictwo eliminowało portret Mickiewicza, na którym przedstawiony jest z zarostem na policzkach, z argumentem, iż przypomina to pejsy⁸. W Instytucie habilitował się represjonowany po „marcu” Karol Modzelewski (w 1976 r., jako badacz z zewnątrz).

Kolejni dyrektorzy sytuowali się oczywiście różnie w stosunku do władz i do ustroju — ale żadnemu nie sposób było odmówić miana historyka (to najmniej, co można powiedzieć). Nie byli to politycy (funkcjonariusze partyjni) na etatach historyków. Nawet w stanie wojennym nie zaaplikowano Instytutowi takiej zmiany dyrektora (na niszczyciela) jak w IBL⁹. Instytut był azylem dla wielu kolegów, którzy może nawet nie mieli wielkich „grzechów” na sumieniu, ale do kontaktów z młodzieżą na uczelniach nigdy by ich nie dopuszczono. Nie przeceniając własnej osoby, sam mogę służyć jako przykład opisywanej sytuacji. Na wniosek prof. Łepkowskiego prof. Manteuffel przyjął

⁷ Podobnie pozytywną wówczas reakcją środowiska wobec swojej habilitacji w IBL PAN odnotował Michał Głowiński (tamże, s. 309).

⁸ O marcowych zarzutach pod adresem Redakcji Historii PWN zob. Tadeusz P. Rutkowski, *Adam Bromberg i „encyklopedyści”. Karta z dziejów inteligencji w PRL*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010, s. 257–258.

⁹ Tamże, s. 426–430.

mniej do pracy w 1968 r., gdy musiałem szybko zwijać się z SGPiS. Byłem tam doktorantem w rozgramianym zakładzie. Byłem związany z potępianymi profesorami, o rodzinnym środowisku i kontaktach koleżeńskich nie mówiąc. Nie miałem wprawdzie większych osobistych obciążeń politycznych, ale nie miałem też „zasług”. Ponieważ warunkiem nie do obejścia było ukończenie pracy doktorskiej¹⁰, prof. Manteuffel powiedział nawet swoim charakterystycznym, powolnym głosem: „Proszę pamiętać, że teraz długie prace doktorskie nie są modne” — co jak na niego było nadzwyczajnym wyjściem naprzeciw. Gdyby nie zatrudnienie mnie wtedy w IH PAN, moja droga do nauki byłaby w najlepszym wypadku znacznie bardziej skomplikowana.

Co nie najmniej ważne, z Instytutu wyszła pewna liczba liczących się uczestników opozycji demokratycznej, ruchu Solidarność, członków kontrolity oraz członków elity uformowanej po upadku komunizmu.

Ciekawa była też reakcja pracowników na decyzje kadrowe uważane przez nas za represyjne politycznie. Na wspomnianym zebraniu 30 marca 1988 r. za wystąpieniem do władz o przywrócenie do pracy Bronisława Geremka głosiło 60 obecnych, nikt nie był przeciw, a wstrzymało się 8 osób, nie cieszących się szczególnym prestiżem. Po usunięciu Geremka podpisywaliśmy też list protestacyjny. Oczywiście nic nie uzyskaliśmy, ale zachowaliśmy twarz. Inna sprawa, że niewiele nas to kosztowało. Tym, którzy podpisali, wstrzymano paszporty, w PRL wydawane na każdy wyjazd osobno (zastosowano zatem swoisty „areszt krajowy”). Spotkany na ulicy Geremek z szatańskim uśmiechem powiedział wtedy coś takiego: „No to chyba teraz tylko ja będę jeździł, bo ja tego protestu nie podpisałem?!”. Mimo paszportowego łajdactwa trudno jednak uznać to działanie władz za ciężką represję. Warto też pamiętać, że w stalinizmie ani Geremek tak długo nie działałby na szkodę „ludu pracującego miast i wsi” w Instytucie, ani my nic takiego byśmy nie podpisywali.

W wypadku wspomnianego odrzucenia Macierewicza w gronie pracowni, której sprawa dotyczyła, chcieliśmy powalczyć z władzami. Do tego jednak wygodnie było mieć protokół kolokwium wstępnego na doktoranturę, które jako kandydat zdawał. Na lewo skombinowaliśmy klucz od instytutowego archiwum. Z kolegą tam weszliśmy. Archiwum Instytutu (historycznego!) wyglądało tak, że nasuwało na myśl przysłowie „Szewc bez butów chodzi”. Odnalazłem jednak potrzebny protokół — co do dziś uważam za swój największy sukces archiwalny. Wyniosłem go, skserografowałem na lewo (takie były czasy!), po czym oryginał odniosłem oczywiście na miejsce, klucz też. Nic ta akcja nie przyniosła. Nie opowiadam o niej dla „chwały”. Chcę tylko powiedzieć, że w wielu instytucjach oraz w innych czasach i w innych „bratnich” krajach chyba trudniej byłoby mi zdecydować się na takie działanie.

¹⁰ Marcin Kula, *Początki czarnego niewolnictwa w Brazylii. Okres gospodarki cukrowej. XVI–XVII w.*, Ossolineum, Wrocław 1970.

Bardziej niż personel uczelni traktowano nas jako pracowników państwowych — chociaż tamci też byli przecież państwowi. Ponieważ jednak wszystko w PRL było ułomne, w ramach owego „upaństwowienia” nie dawano nam nawet papieru maszynowego. Pisaliśmy na własnych, własnoręcznie zdobytych maszynach do pisania (epoka przedkomputerowa), najczęściej na własnym papierze i własnymi ołówkami. Często sami płaciliśmy za przepisywanie tekstów na maszynie na czysto (tak to się wtedy robiło) i za ewentualne tłumaczenie referatów na obcy język — bo mało kto z nas umiał je pisać od ręki nie po polsku. Owe niekonsekwencje miały jednak swoje dobre strony. Nawet bałagan bywa czasem błogosławiony.

Załoga Instytutu była poddana pewnej dyscyplinie pracy. Władzom notorycznie trudno było zrozumieć, że nie przychodziliśmy co rano do pracy i nie siedzieliśmy do 16-ej. W kraju miał przecież panować ujednolicony porządek. Poza wszystkim praca nie w godzinach wzbudzała zazdrość — nawet jeśli może nie mitycznej i stale przywoływanej klasy robotniczej, to na pewno urzędników ją rzekomo reprezentujących. Mniejsza, że specyfika pracy dyktowała inne rozwiązania. Mniejsza, że gdybyśmy wszyscy przyszli do naszego miejsca pracy, to zabrakłoby miejsca właśnie do pracy. Miała panować dyscyplina i już! Wymyślono więc rozwiązanie w postaci podpisywania codziennej listy obecności raz na tydzień, w dniu zebrania danej pracowni lub zakładu. W kratce odpowiedniej dla każdego innego dnia można było napisać „praca w domu”, „praca w archiwum” itp. Nie wolno było robić znaczka powtórzenia, trzeba było napisać to samo pełnym słowem. Było to upokarzające przez idiotyzm opisywanego działania, ale, prawdę mówiąc, nie miało większego znaczenia. Wpisywałem notorycznie „praca w domu”. Potem, żeby coś zmienić, raz na tydzień pisałem „AAN” na oznaczenie Archiwum Akt Nowych, a w końcu wymyśliłem jakiś nieistniejący skrót, który czasem też wpisywałem... Poza wszystkim rzecz była praktycznie niesprawdzalna. Nawet telefonu w domu nie miałem przecież obowiązku odbierać, długo zresztą go nie miałem. Nie byliśmy zaś na etapie inspekcji w domach i w archiwach. W sumie te listy nie były zresztą najgorszym rozwiązaniem. Nie był już to czas taki, jak w pewnym okresie przed moim przyjściem do Instytutu, gdy od pracowników wymagano wpisywania godzinowego rozkładu pracy w domu (od godz. „x” do godz. „y” opracowywanie tematu „z” itd.). Nie był już też czas „Kalendarza pracownika nauki” — nie wiem, czy używanego, ale z pewnością wydrukowanego w 1955 r. (może też w innych latach?). Ten kalendarz przypominał osobistą książeczkę pracy kolejarza w epoce przedkomputerowej. Jego częścią były tabele, gdzie przez stawianie krzyżyków w odpowiednich dniach, godzinach i rubrykach, odpowiadających typom działalności, tworzyło się jej dokładny zapis (w każdej chwili do wglądu). W „moich” latach realną alternatywą dla list podpisywanych w opisany sposób było przychodzenie do pracy co rano choćby na chwilę, by je naprawdę podpisać i wpisać tam „praca w domu”, czy cokolwiek. Myśmy zawsze wiedzieli, że może być gorzej — a takie myślenie miało fundamentalne

znaczenie w skali kraju. Ułatwiało Gomułce niespełnienie oczekiwań, jakie żywili ludzie po 1956 r. Do podania ustroju w wątpliwość musiało pojawić się pokolenie, dla którego ani stalinizm, ani sytuacja „bratnich” krajów nie były już punktami odniesienia. Nie znając stalinizmu następne pokolenie pewno nie wiedziało, co czyni¹¹, a znając, choćby ze słyszenia, Zachód, chciało dużo więcej niż my.

Naszą aktywność badawczą organizowano za pośrednictwem instrumentu planowania — jak w całej Polsce wszelką aktywność. I tak jak w całej Polsce całe to planowanie było idiotyczne. Istniały plany kwartalne, roczne, długookresowe i nie wiedzieć jakie jeszcze. W praktyce Instytut wydrukował ogromne arkusze, przez nas nazywane „płachtami”. Po lewej stronie wpisywało się tam plan, a po prawej wykonanie. Był to idiotyzm, ale — powiedzmy szczerze — mało przeszkadzający. Trzeba było tylko nauczyć się współżyć z tym systemem, jak z mrówkami faraona w nowych blokach mieszkalnych. Po pierwsze, należało wpisywać możliwie mało do planu — bo jednak (co istotne!) w dużym stopniu od pracownika zależało to, co wpisywał. Sama dyrekcja apelowała, by nie przesadzać z rozmachem planów. System działał tak, że można było nic nie robić — zwłaszcza jeśli zachowywało się pozory, nie przekraczało drastycznie terminów uzyskiwania stopni naukowych itd. Za mojej pamięci z Instytutu wyrzucono jedną, co najwyżej dwie osoby za nicnierobienie (a wtedy, oczywiście, narzuciło się pytanie, dlaczego akurat tę lub te). Większość z nas oczywiście pracowała, badanie historii jest bowiem czymś, co na ogół po prostu lubimy. Z pewnością nie pracowali jednak przecież wszyscy. Czasem, powiedzmy, ze względów domowych, było nam wygodnie przez jakiś czas nic nie robić. To nie powodowało jednak dramatu. Niedobrze było natomiast nie wykonać planu. Z tego dyrekcja musiała się tłumaczyć wobec Wydziału I (humanistycznego) PAN, a ten pewno wobec centrali PAN... Najlepiej było wpisywać do planu rzeczy skończone lub prawie skończone. Wtedy, z natury rzeczy, miało się spokój z wykonaniem. Można było też coś zabajerować z wykonaniem; zakończenie opracowywania tematu w humanistyce jest często sprawą nieprecyzyjną. Pod groźbą oskarżenia o kretynizm nie należało za szybko wpisywać zakończenia danego tematu. Powszechnie znane jest opowiadanko o synu adwokata, który odziedziczył kancelarię i po pierwszej sprawie wrócił dumny z wygranej. Na to ojciec mu powiedział: „Chyba zgłupiałeś, ja z tej sprawy żyję od dwudziestu lat, a ty ją wygrałeś?!”. Analogicznie w arkuszach planowania wygodnie było wpisywać „zbieranie materiałów” — nigdy nie kończące się i o trudno weryfikowalnym postępie. Późniejszy profesor Jerzy Jedlicki kiedyś chciał nawet wpisać jako zajęcie na kwartał „myślenie” — ale tego mu nie zaakceptowano.

¹¹ Kolega internowany po stanie wojennym opowiadał mi, jak to siedział razem z pewnym robotnikiem. Robotnik w kółko powtarzał, że on przecież nic nie zrobił. Zniecierpliwiony kolega w końcu poprosił go, by opowiedział o tym, czego nie robił. „Ja tylko — mówił robotnik — wziąłem naszego sekretarza przez plecy i wystawiłem przed zakład. Ja mu naprawdę nic nie zrobiłem!”.

Jednocześnie panowała powszechna, z dyrekcją włącznie, zgoda, by tej całej procedury planowania nie traktować poważnie. Dopuszczano nawet wpisywanie (i realizowanie!) wariactw — bo czym innym było zajmowanie się w ówczesnych warunkach, jak w wypadku moim i kolegów — Ameryką Łacińską, czarną Afryką lub Maghrebem? I to tym bardziej że w Akademii nikt przecież palcem nie kiwnął, by dopomóc w stworzeniu warunków dla realizacji takich tematów. Tylko raz jeden z kolejnych dyrektorów administracyjnych wyraził wątpliwości co do zajmowania się przeze mnie historią Boliwii — ale wytłumaczono mu, że nie rozumie nauki (co akurat było bardziej niż pewne). W praktyce całe to planowanie nikomu nie przeszkadzało — poza dyskomfortem psychicznym uczestnictwa w absurdzie, ale do takich rzeczy człowiek się przyzwyczajał.

Czasem planowanie było nawet użyteczne. Wyjazdy zagraniczne ujęte w planie realizowano najłatwiej. Różne rzeczy można było uzyskać przy powołaniu się na argument, że są konieczne dla realizacji planu. Można było zgłaszać pretensje do Akademii z argumentem, że niespełnienie czegoś uniemożliwia realizację planu. Powiedzmy sobie też szczerze, że dopóki nie pracowaliśmy w miejscu pracy w określonych godzinach, to nawet najusilniej egzekwowany plan mógł regulować jedynie część aktywności, a część pozostałą można było poświęcić na co się chciało. Lepiej tylko było nie chwalić się nadmiernie takimi działaniami. W ogóle w Instytucie, jak pewno w całej Polsce, lepiej było powstrzymać swoją aktywność, zwłaszcza oryginalną, a nade wszystko nie chwalić się nią. Istniało w PRL powiedzonko rodem z wojska, że dobrym żołnierzem jest ten, kogo sierżant wciąż pytał o nazwisko po dwóch latach służby (bo go nie dostrzegł ani na dobre, ani na złe).

Zarówno jako dowód liberalizmu, jak i jako dowód idiotyzmu tego planowania można wskazać fakt, że przez 22 lata zostałem tylko raz zmuszony do robienia czegoś, czego nie chciałem — a i to działanie nie było bezsensowne z punktu widzenia mojej specjalizacji. Była to instytutowa historia Ameryki Łacińskiej, w której własnego udziału nie polubiłem i go nie cenię¹². Udział w tym przedsięwzięciu nie był jednak dramatem, a jeszcze mi za to nieźle zapłacono.

Obok planowania czynnikiem organizowania pracy były podejmowane (też zaplanowane, rzecz jasna) działania zespołowe, zwłaszcza pisanie „syntez”. Instytut został w końcu powołany dla stworzenia — jak to na początku lat pięćdziesiątych formułowano — marksistowskiej syntezy (czytaj: wykładni) historii Polski. Wyszedł z tego straszliwy, przeogromny gniot, który już przez sam fakt nie kończącego się porodu nie mógł reprezentować żadnej wykładni — ani lepszej, ani gorszej. Dziś chyba już nikt z tego dzieła nie korzysta. Nie zostało zresztą doprowadzone do 1945 r., ani nawet przynajmniej do 1939 r.,

¹² *Dzieje Ameryki Łacińskiej od schyłku epoki kolonialnej do czasów współczesnych*, Tadeusz Łepkowski (red.), t. 1–3, KiW, Warszawa 1977–1983.

tak jak chyba powinno¹³. Potem dążenie do tworzenia „syntez” też przesadnie nie radowało. Idea nie była nawet absurdalna — podobnie zresztą jak idea planowania wspólnych badań. Komunizm jednak musiał wszystko sprowadzić do absurdu. Synteza — i to nie będąca li tylko kompendium lub kompilacją — nigdy nie rodzi się w wyniku zarządzenia. Musi dojrzeć, musi się w pewnym sensie sama narodzić. Ma większe szanse bycia syntezą, gdy jest przynajmniej zarysowana przez jednego człowieka lub tworzona przez „dogadany” zespół. Tymczasem to całe „syntetyzowanie” w wydaniu PAN było bardzo biurokratyczne. Nie było straszne. W końcu jakąś dyskusję, refleksję i badania przy okazji prowadzono. Pozostaje jednak faktem, że nawet od najlepszego tomu (z grubsza biorąc dziewiętnastowiecznego) wspomnianej instytucyjowej *Historii Polski* lepszy jest tom jednoosobowo napisany przez prof. Stefana Kieniewicza, skądinąd współredaktora owego tomu instytucyjowego¹⁴.

Z planem lub mimo niego załoga IH PAN prowadziła badania. To zagadnienie oczywiście najtrudniej jest zanalizować w takiej formule, jaką przyjąłem w moich wspominkach. O rezultatach prowadzonej w Instytucie refleksji powinien wypowiadać się historyk historiografii na podstawie systematycznych badań. Pozwolę sobie jednak sformułować kilka uwag. Podstawową sprawą, moim zdaniem, jest to, że w Instytucie pracowała na ogół dobrze przygotowana i lubiąca swoje zajęcie kadra. Byli wśród niej koledzy wręcz wybitni. Historiografia korzystała wówczas z tego, że wielu zdolnych i uczciwych ludzi nie chciało pójść do polityki (lub ich tam nie chciano). Wielu kolegów wolało też historię od kierunków bardziej zideologizowanych. Owa kadra w ogromnej części w nauce realizowała swoje ambicje, a tytuły naukowe nie służyły jej jedynie jako dekoracja lepszych wizytówek.

Kadra Instytutu badała najlepiej jak potrafiła. To że, moim zdaniem, dobre rzemiosło często niekorzystnie przeważało w prowadzonych działaniach nad oryginalnym myśleniem i ciekawymi pomysłami, nad uogólnieniami, nad podejściem interdyscyplinarnym, podejściem w szerokiej perspektywie i nad porównaniami, także nad odrobiną zdrowego buntu i polotu, bez których nie ma odkryć w nauce, jest zagadnieniem z zupełnie innego porządku rzeczy¹⁵. Można zresztą dyskutować, czy te cechy — jeśli tu prawidłowo skonstatowane

¹³ *Historia Polski*, Tadeusz Manteuffel (red.): t. 1: do roku 1964, Henryk Łowmiański (red.), cz. 1 i 2, PWN, Warszawa 1957; t. 2: 1764–1864, Stefan Kieniewicz, Witold Kula (red.), cz. 1: 1764–1795, PWN, Warszawa 1958, cz. 2: 1795–1831, PWN, Warszawa 1958, cz. 3: 1831–1864, PWN, Warszawa 1959; t. 3: 1850/1864–1918, cz. I: 1850/1864–1900, Żanna Kormanowa, Irena Pietrzak-Pawłowska (red.), PWN, Warszawa 1963; cz. II: 1900–1914, Żanna Kormanowa, Walentyna Najdus (red.), PWN, Warszawa 1972; cz. III: 1914–1918, Żanna Kormanowa, Walentyna Najdus (red.), PWN, Warszawa 1974.

¹⁴ Stefan Kieniewicz, *Historia Polski 1795–1918*, przedmowa Jerzy Skowronek, PWN, Warszawa 1996.

¹⁵ O swoich zastrzeżeniach do merytorycznej strony działań Instytutu miałem okazję mówić na posiedzeniu jego Rady Naukowej 17 maja 1990 r. Zob. także: Marcin Kula, *Instytut*, cyt. wyd.

— były cechami Instytutu, czy w ogóle dziejopisarstwa polskiego, a może nawet historiografii jako takiej. Nie warto też rozwódzić się w tym miejscu nad korzyściami, jakie mogły płynąć z sensownie, a nie biurokratycznie pojętych badań zespołowych (skoro już tylu ludzi zgromadzono pod jednym dachem!). Te i liczne inne kwestie to zasadnicze sprawy historiografii oraz kształcenia historyków; miałem okazję gdzie indziej wypowiadać się na ich temat¹⁶. Tu chcę natomiast podkreślić, że w większości pracowaliśmy najlepiej jak potrafiliśmy. Mogliśmy „olewać” szkolenie wojskowe i planowanie. Każdy z nas mógł być lepszy lub gorszy, mniej lub bardziej wydajny zawodowo, mniej lub bardziej gorliwy w pracy. Nie słyszałem jednak w tym środowisku o nikim, kto by świadomie „olewał” robione badanie, pisane opracowanie, przygotowywany doktorat lub habilitację¹⁷.

Ludzie wykształceni przed wojną, aktywni po wojnie i niekiedy jeszcze w rozważanym okresie, w tym oczywiście także lewicowi, a nieraz nawet bliscy marksizmowi (co w tym kontekście ważne), potrafili wyrobić w środowisku przestrzeganie podstawowych norm warsztatowych. Można pytać, jakim „cudem” PRL ich nie odsunęła. Można oczywiście zastanawiać się, dlaczego na przykład nie wysłała ich do robót fizycznych, jak w Czechosłowacji po 1968 r. (o łagrach nie mówiąc), ale to pytanie wykracza poza granice niniejszego eseju.

Z pewnością PRL starała się o kadre bezwarunkowo swoją. Stworzyła specjalną uczelnię — Instytut Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR, później przekształcany w kolejne instytucje pod innymi nazwami. Wprowadziła różne dziwne postacie do elity PAN. W „marcu” stworzyła kategorię docentów z nominacji (bez habilitacji), których to ludzi myśmy nazywali „marcowymi docentami” bądź, co charakterystyczne w kontekście ówczesnej sytuacji, „volksdocentami”. Pewne sukcesy władze uzyskały. Jak często w PRL, sukcesy te okazały się jednak połowiczne. Spośród filozofów i ekonomistów IKKN oraz instytucje sukcesyjne wykształciły nie tylko spolegliwych funkcjonariuszy partyjnych, ale także absolwentów, którzy z czasem stali się pierwszoplanowymi rewizjonistami. Pomiędzy historykami działo się natomiast tak, że ludzie, którzy sytuowali się bardzo wysoko jako dygnitarze partyjno-państwowi, czasem wręcz w samym centrum PZPR i wraz z nim odegrali złą rolę, w rozpatrywanym okresie nie rozrabiali już na ogół we własnym (historyków) środowisku i nie pisali głupot zawodowych. Dlatego paradoksalnie nawet elita Wydziału Nauki KC PZPR — akurat historycy — nie została w środowisku zapamiętana źle (choć odegrała fatalną rolę, zaś ich choćby rutynowe teksty urzędowe nie-

¹⁶ Marcin Kula, *Historia moja miłość (z zastrzeżeniami)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2005; Marcin Kula, *O co chodzi w historii?*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2008.

¹⁷ Podobnie prof. Głowiński o swoim instytucie: „Dla mnie Instytut Badań Literackich był oazą swobody, miejscem, w którym uprawiano się naukę, nie podlegając żadnym naciskom ideologicznym, te nadciągały z zewnątrz i były za sprawą wspólnych wysiłków odpierane” (Michał Głowiński, *Kręgi obcości*, cyt. wyd., s. 341).

raz bardzo przykro dziś czytać). Wręcz prof. Henryka Jabłońskiego, jednego z najwyższych dygnitarzy partii i państwa, a na dodatek człowieka, który jako minister podpisał się pod „marcem” na uczelniach, nie dyskredytuje się *ex post*. Prace tych ludzi funkcjonują jako normalne prace historyczne. Ceni się ich nieraz za to, że pomagali to i owo przepchnąć przez cenzurę lub wydrzeć paszport. Problem tego systemu polegał na tym, że często był on gorszy niż ludzie nawet blisko z nim związani, wręcz niż jego podtrzymywacze. Można to ująć także następująco: system deprawował i oglupiał ludzi, którzy jednak przynajmniej w jakichś aspektach swojej działalności zachowywali przytomność. W tym wypadku ciekawe i charakterystyczne, że zachowywali ją w działalności zawodowej.

W latach siedemdziesiątych marksizm jako ideologia był już bardzo słaby. Powstające dzieła historyczne nie były już historiografią stalinowską. Nie walczone wtedy nawet w rewizjonizmem w historiografii, nie ukształtował się on bowiem tak wyraźnie, jak w innych naukach społecznych. Historia w ogóle rzadko, a w Polsce wyjątkowo rzadko, wypracowuje teorie — więc mniej się też narażała. Władze potrzebowały moczarskiej wizji dziejów, czyli nacjonalistyczno-komunistycznej, ale chciano ją raczej przekazywać masom za pośrednictwem własnych nadawców i propagandy — w nadziei, że ją zaakceptują — niż robić dintojrę w instytucie naukowym o niewielkiej sile oddziaływania. W sumie chyba nie zdarzyło się atakowanie naukowców-historyków za metodologię i przedstawiane treści zawodowe, jak działo się w filozofii, ekonomii oraz socjologii. Swoją drogą sprawa podobieństw i różnic między losem historii oraz innych nauk społecznych w tym okresie byłaby warta bliższego prześledzenia.

Kadra Instytutu jeździła na Zachód. Oczywiście nie było to jeżdżenie swobodne. O tej epopei można by dużo opowiadać (uczyniłem to w innym miejscu¹⁸). Niemniej jednak jeżdżono — i to sporo jeżdżono. Można dyskutować, czy dużo się w Paryżu uczono, czy „tylko” pożerano archiwa i biblioteki dla zebrania materiałów potrzebnych do prac robionych w Polsce — ale Zachód sytuował się relatywnie (!) blisko nas, nieporównanie bliżej niż z punktu widzenia historyków innych krajów demokracji ludowej („ze Związkiem Radzieckim na czele”). Dyskusyjne jest, jak silne były wśród nas wpływy „Annales”, ale z pewnością silniejsze niż wpływy wszystkich instytutów historycznych ZSRR razem wziętych oraz wszystkich oficjalnych gości z ZSRR odwiedzających Akademię.

Stosunkowo licznie przyjeżdżali też do nas zachodni badacze. Był zwyczaj, oczywiście ustrojowo uwarunkowany, że kogoś z pracowników delegowano do opieki nad takim gościem. Nie można było przecież pozostawić go samemu sobie — z punktu widzenia władz ze względów bezpieczeństwa, a z naszego

¹⁸ Marcin Kula, *Mimo wszystko bliżej Paryża niż Moskwy*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010. Por. Patryk Pleskot, *Intelektualni sąsiedzi. Kontakty historyków polskich ze środowiskiem „Annales”. 1945–1989*, IPN, Warszawa 2010.

punktu widzenia po prostu ze względu na codzienne trudności, napotykaną u nas we wszystkim. Dla większości z nas, uczciwych ludzi obciążanych taką funkcją, taka opieka bywała okazją zbliżenia się do kolegów z Zachodu. Niedaleko szukając, Bronisław Geremek zaprzyjaźnił się z Jacquesem Le Goffem właśnie służąc mu jako przewodnik.

Co nie najmniej ważne, niejeden z nas publikował teksty zawodowe na Zachodzie bez przesadnych trudności. Wprawdzie częściej były to artykuły niż książki — ale były. Z większości innych krajów obozu nie szło to tak łatwo¹⁹.

Praktykowana w Instytucie metodologia była raczej eklektyczna, w dużym stopniu pozytywistyczna, najprościej ujmując — zdroworozsądkowa (przy przestrzeganiu pewnych reguł wypowiedzi i nienaruszaniu otwarcie kanonu). Aktywnie metodologią prawie się nie interesowano (na dobre i na złe!). W swoim czasie prof. Manteuffel bardzo popierał wydawnictwa źródłowe. Mówił, że one — w odróżnieniu od opracowań — nie starzeją się. Popierał też budujące warsztat publikacje z zakresu klasycznych nauk pomocniczych historii, które w stalinizmie deprecjonowano. Przypuszczam, że budowanie warsztatu uważał za zawsze pożyteczne, podczas gdy wiele monografii robionych w ówczesnych warunkach musiał postrzegać jako wątpliwe. Generalnie, w moim przekonaniu, w Instytucie trzymano standard, a reguł warsztatu przestrzegano może właśnie tym bardziej, by stworzyć pewien teren zastrzeżony dla członków konfraterni zawodowej. Chyba nawet zaznaczył się pewien konserwatyzm metodologiczny — często w ogóle silny wśród historyków polskich, ale wtedy będący w jakimś stopniu reakcją na nominalnie modernizacyjny komunizm. Nominalnie, gdyż modernizacja za komunizmu to temat bardzo dyskusyjny, w historiografii także. Oczywiście, nie wszystkie dokonania nawet historiografii czasów stalinowskich mogą być mierzone metodologiczną miarą religio-podobnego *Krótkiego kursu*²⁰, ale wielkiego nowatorstwa trudno się dopatrzeć w większości jej dzieł — w odróżnieniu od rewolucji politycznej w przedstawianiu dziejów i od utylitarne go traktowania analizy.

¹⁹ Ciekawe, że podobnie było w naukach przyrodniczych. Por. dzisiejsze wspomnienie: „W NRD wszystkie publikacje wysyłane na Zachód podlegały cenzurze i samo wysłanie, źle widziane politycznie, wymagało specjalnej zgody władz, niełatwej do uzyskania. Szczególnie zabawny, ale i smutny był przypadek prof. Tiedta, który w latach 70. XX w. przyjechał na pobyt naukowy do Warszawy, przewożąc ze strachem przez granicę maszynopis pracy doświadczałnej, wykonanej w swojej Katedrze w Erfurcie (dotyczyła ona zagadnienia odruchowej regulacji przepływu wieńcowego) po to, aby ją wysłać do znakomitego czasopisma niemieckiego na Zachodzie jako pracę wspólną w ramach oficjalnej współpracy z Katedrą Fizjologii w Warszawie. Ta określona droga maszynopisu pracy z Niemiec Wschodnich do Zachodnich *via* Warszawa ilustruje nieporównywalnie większą otwartość i swobodę nauki w PRL niż w krajach tzw. obozu socjalistycznego”. Andrzej Trzebski, Ewa Szczepańska-Sadowska, *Katedra i Zakład Fizjologii Doświadczałnej i Klinicznej*, w: *Dzieje I Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Warszawie (1809–2006)*, Marek Krawczyk (red.), t. 3, Lublin 2009, s. 905.

²⁰ *Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (Bolszewików). Krótki kurs*. Pod redakcją Komisji KC WKP(b). Zaaprobowany przez KC WKP(b). 1938 r., KiW, Warszawa 1949 (oraz inne wydania).

Bardziej ceniono w Instytucie prace poszukiwawcze, empiryczne, oparte na archiwach i dokumentujące to masą przypisów, niż szersze, refleksyjne. Nawet jeśli kategorie klasowe były stosowane w różnych rozumowaniach, nie dopuszczano prac, w których „klasowy” bełkot zastępowałby badania. Dlatego też w historii było mniej hochsztaplerów związanych z establishmentem niż w filozofii, socjologii czy ekonomii. Jakiemu dobrze ustawionemu niby-uczonemu chciałoby się szukać materiału archiwalnego, by móc zrobić przypisy — bez których, jak wiadomo, praca historyczna się nie liczy, nawet gdy jest mądra, a coś dopiero gdy jest głupia?

Nie sądzę, ażeby w pracach powstałych w Instytucie w analizowanym okresie pojawiały się przekłamania. Całe środowisko historyczne produkowało już wtedy mało gigantycznych bzdur, nie mówiąc o świadomych fałszerstwach. Zdarzały się one, to jasne. Niektóre ośrodki mają hipotekę lepszą, inne gorszą. Generalnie, w odniesieniu do rozważanego okresu nie jest to jednak hipoteka zła. Można oczywiście zadać pytanie, gdzie sytuowały się granice naszego środowiska. W końcu niektórzy „działacze” i urzędnicy stali się historykami „z dościa”, czasem z pomocą zawodowców. W końcu historycy kształcili się i pracowali także w Akademii Nauk Społecznych, Wojskowej Akademii Politycznej, Akademii Spraw Wewnętrznych, Zakładzie Historii Partii, w instytutach partyjnych typu Instytutu Marksizmu-Leninizmu (*vulgo* „Marlena”), w Instytucie Krajów Socjalistycznych PAN, Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, pomarcowym PWN itd. Pamiętam moje przerażenie, gdy kiedyś, przez przypadek, zobaczyłem, iż w programie badań, w którym uczestniczyłem poza Instytutem, brała udział między innymi Akademia Spraw Wewnętrznych. Inna sprawa, że nie wiem, jak kierownictwo programu mogłoby odrzucić taką instytucję, nawet gdyby chciało — skoro była jedną z państwowych uczelni. W wymienionych instytucjach mogły, rzecz jasna, powstać niezłe prace, zwłaszcza że tamtejsi pracownicy nieraz mieli dostęp do materiałów, którego nam nie dawano. Podejrzewam jednak, że statystycznie tam powstało więcej bzdur niż w instytucjach mi bliższych, gdzie tak wiele ich już wtedy się nie pojawiało.

W Instytucie komunizm był widoczny w generalnie lepszym poziomie badań nad epokami dawniejszymi; to zjawisko było charakterystyczne w całej polskiej historiografii. Wielu dobrych zawodowo kolegów unikało historii najnowszej, a nawet konkretnych tematów, by nie być zmuszonym w najlepszym wypadku do kluczenia. Podobnie przedstawiała się sytuacja w IBL²¹. W historiografii bardziej współczesnej zaznaczały się dziury tematyczne oraz ucieczka w konkret w miejsce formułowania uogólnień. Nikt otwartym i uogólniającym tekstem — w słowie lub w piśmie — nie kwestionował imponderabiliów systemu. Zostawmy na boku, iż niektórzy mogli je z przekonaniem podzielać

²¹ Michał Głowiński, *Kręgi obcości*, cyt. wyd., s. 303–304.

albo, co wtedy było już szczególnie częste, tłumaczyć je sobie koniecznościami geopolitycznymi.

Oczywiście taką historiografię z dziurami jak w serze szwajcarskim i bez sensownych uogólnień w odniesieniu do czasów najnowszych łatwo było atakować po upadku komunizmu. W końcu, jak wiadomo, wytrzymałość łańcucha mierzy się wytrzymałością najsłabszego ogniwa. Pozwolę sobie jednak wyrazić myśl, która zapewne ma małe szanse na popularność. Sądzę mianowicie, że „białe plamy” były nieraz lepsze niż zakolorowanie ich (wówczas fałszywie). „Białe plamy” często wyrażały chęć pozostania uczciwym, a nie, jak to ujmowano u schyłku komunizmu i potem, stanowiły dowód serwilizmu historyków. To władze, rzecz jasna, wywoływały „białe plamy”, nie pozwalając publikować o pewnych tematach, badać ich, wręcz czytać materiałów. Pewne tematy miały zniknąć — choć kto miał o nich wiedzieć, ten wiedział (np. cenzorzy, mający czegoś nie przepuszczać w druku, bądź ubecy i esbecy, pilnujący pewnych ludzi i miejsc). Jednocześnie często to właśnie uczciwi badacze unikali różnych tematów, by nie uczestniczyć w brudnej grze lub choćby tylko uniknąć kluczenia. Tym większa chwała tym, którzy pracowali po cichu nad nadzorowaną tematyką, a pokazali, co zrobili, gdy stało się to możliwe choćby połowicznie lub drugoobiegowo (Krystyna Kersten!). Ciekawe, że takie drażliwe tematy, choć też jedynie wybrane, czasem podejmowali historycy bliżsi władz. Oni pewno czuli się mocniejsi, mieli większe szanse dostępu do materiałów, a może też czuli misję, by jednak je opracować. Może z kolei władza im wierzyła, że zrobią to „jak należy”, z czego nie wiem, czy zawsze się wywiązali.

Oczywiście dziś często nawet najlepsze opracowania powstałe w rozpatrywanym okresie nie wzbudzają entuzjazmu. Zwłaszcza te z zakresu historii najnowszej nieraz wydają się bardzo komunistyczne. Warto jednak mieć na uwadze, że niektóre z tez dziś niemożliwych przynajmniej część z nas po prostu podzielała. Nawet u ludzi mających wątpliwości do komunizmu (też zresztą niekoniecznie od razu do komunizmu jako całości) obraz świata bywał inny niż taki, który jest popularny dziś. Niedaleko szukając, sam byłem pod pozytywnym wrażeniem Rewolucji Kubańskiej. Nie miejsce tu na tłumaczenie, dlaczego — ale nie czułbym się zażenowany tłumacząc. Druga okoliczność to ta, że my wtedy mówiliśmy jednak innym językiem. Po prostu inaczej „się mówiło”. Trzecia zaś to ta, że mówiliśmy językiem nieco ezopowym, często bez kropek nad „i”. W dyskusjach instytutowych, zapamiętanych przeze mnie jako bardzo swobodne, pojawiające się tematy nieraz były podejmowane bądź w dosyć hermetycznym języku dyskusji zawodowej, bądź w domniemaniu istnienia wielu spraw powszechnie wiadomych, wręcz niewartych wspominania. Nikt z nas nie wygłaszał przemówień antyradzieckich, antyustrojowych, przeciwnych PZPR — a jeśli, to jedynie w czasach wyjątkowych zaburzeń. Świat był, jaki był. Na co dzień nikt nie powtarza, że mu się nie podoba klimat strefy geograficznej, w której żyje. Czasem tylko dany „ktoś” stęknie, że okropny dziś

pada deszcz lub męczy upał — nawet jeśli, po prawdzie, wolałby żyć w klimacie śródziemnomorskim.

Te wszystkie drobne lub większe pominięcia, nieraz podświadome ubieranie naszych wypowiedzi w pewne formy, nadały wielu pracom specyficzny styl. O różnych sprawach po prostu też nie wiedzieliśmy bądź wiedzieliśmy znikomo — co nie było dziwne wobec nieprowadzenia badań w wielu obszarach i zamknięcia archiwów bądź dla wszystkich, bądź dla wszystkich poza wybranymi, zaufanymi historykami. Wszystko to psuło naszą opinię w oczach ludzi, zwłaszcza w trakcie kryzysu komunizmu i bezpośrednio po jego upadku. Prawda jest jednak też taka, że część opinii i tak nie zaakceptowałyby nigdy — i dziś nie akceptuje — historii pisanej przez nas, jako odbiegającej od wizji dziejów zawsze bohaterskiego i szlacheckiego, a ciągle krzywdzonego narodu polskiego, który pozostał wierny Bogu i Ojczyźnie. Takiej wizji dziejów rzeczywiście nie uprawialiśmy.

Historiografia polska, w tym instytucyjowa, rozpatrywanego okresu, nawet jeśli miała swoje słabości, z pewnością była lepsza niż historiografia wszystkich „bratnich” krajów (może dzieląc ten honor z węgierską). Umiarkowany to komplement — ale komplement. Warto pamiętać, jak często nasi zawodowi koledzy z państw dziś sąsiadujących z nami od wschodu uczyli się polskiego — by czytać nasze i tłumaczone u nas zachodnie książki²². Instytut nam, w moim przekonaniu, za mało pomagał jako środowisko badań historycznych, ale też mało przeszkadzał. Umiarkowany to komplement dla instytucji naukowej, ale — jak na owe czasy — komplement.

KONIECZNA ZGODNOŚĆ NADBUDOWY Z BAZĄ

W historiozofii stalinowskiej baza przesądzała o nadbudowie. Rozwój stosunków produkcji w formacjach antagonistycznych rozsądzał niedostosowaną nadbudowę i w ten sposób tworzyła się nowa formacja, a w ostatecznym rachunku socjalizm o sprzecznościach z założenia nieantagonistycznych (tak je określano). Nawet w wypadku bazy właściwej dla realnego socjalizmu nadbudowa, a zwłaszcza ta jej część, jaką stanowi świadomość, mogła jednak za bazą nie nadać... i wtedy trzeba było jej pomóc. Jak pomagano — wiadomo. W na-

²² Michał Głowiński wspomina Mirosława Prochązkę z Czechosłowacji, który po Praskiej Wiośnie wiódł marny żywot w jakimś instytucyjnym ledwo-naukowym: „Lubił przyjeżdżać do Warszawy, dwa czy trzy razy udało mu się dostać krótkoterminowe stypendia. Przyciągała go zwłaszcza IBL-owska biblioteka, w której mógł czytać najnowsze zachodnie książki i czasopisma, wówczas całkowicie niedostępne w Czechosłowacji (zajmował się teorią dramatu). Warszawa tamtej dekady była w jego odczuciu miastem niemal zachodnim. Podziwiał repertuar kin; pamiętam, że poszedłem za nim na film Skolimowskiego według powieści Nabokova *Król, dama, walet*. Był zdumiony, że w normalnym, ogólnie dostępnym kinie wyświetla się film zrobiony na Zachodzie przez polskiego reżysera, i to według książki białego emigranta. Zdałem sobie wówczas sprawę, że jednak żyjemy w trochę innych światach” (Michał Głowiński, *Kręgi obcości*, cyt. wyd., s. 325).

szym wypadku też wszystko miało być dobrze, ale na wszelki wypadek trzeba było nas kontrolować. W pewnym sensie im więcej było swobód — tym bardziej narzucała się konieczność kontroli. Przy zachowaniu wszelkich proporcji można to porównać z rozwijaniem oddziałów MO do walki z demonstracjami (był to tzw. Golędzinów). Rozwijano je po 1956 r. — wcześniej nawet mowy nie było o demonstracjach; gdy wybuchły w Poznaniu, zaskoczyły władze do tego stopnia, że wprowadzono do akcji wojsko (ze znanymi skutkami).

Jako historycy oraz jako Instytut znajdowaliśmy się pod wieloraką kontrolą. Była to kontrola ze strony PAN, a konkretnie jej Wydziału I (Nauk Społecznych) oraz niezliczonych biur Akademii, wtykających wszędzie nos. Kontrola instytucji przez władzę zwierzchnią nie była oczywiście niczym nadzwyczajnym. Specyficzna dla PRL była mała autonomia Instytutu oraz potrzeba uzyskiwania zgody PAN nawet w drobnych sprawach. W tym wymiarze nagle okazywało się, że nauka stanowi jedność (sic!). Jeszcze bardziej charakterystyczne dla PRL było przemożne, wielostronne i słabo zdefiniowane włączanie się w zarządzanie nauką przez Wydział Nauki KC. Na jeden z działów życia (nasz zawodowy) po prostu przenoszono przewodnią rolę PZPR — w skali kraju podobnie prze-możną, wielostronną i słabo zdefiniowaną.

Instytut podlegał oczywiście kontroli finansowej, z NIK-owską na czele. W tym wypadku specyficzne dla PRL było instrumentalne traktowanie owych kontroli. Inspekcje NIK często nasyłano na instytucje, w które chciano uderzyć, dlatego że miano pretensje do nich bądź do ich dyrektorów. Trzeba pamiętać, że NIK miała prawo przedstawiania uwag także co do merytorycznej strony działania kontrolowanych instytucji. Podobnie warto pamiętać, że w każdej większej instytucji można znaleźć jakieś nieprawidłowości w zakresie przestrzegania przepisów. Tak było też w PRL, tylko w tej formacji przepisy były wyjątkowo niejasne i niejednoznaczne, wykryte przekroczenia lubiano wykorzystywać przeciw nielubianym instytucjom i ludziom, nawet jeśli nie były poważne, a możliwości odwołania w imię sprawiedliwości lub (i) sensu — niewielkie.

Powyższe zjawiska, których listę można przedłużać, miały skalę zbyt szeroką, by je omawiać przy okazji wspomnień takich jak niniejsze. Nadto sytuowały się powyżej horyzontu szeregowego pracownika. Dla nas — takich pracowników — istotna była kontrola cenzorska, lokalna polityczna i policyjna.

Dzisiejszemu czytelnikowi trudno zapewne wyobrazić sobie, że przez cenzurę przechodziło dosłownie wszystko, co drukowano — z nalepkami na marmoladę włącznie. Prawda, że wtedy była to już cenzura znacznie bardziej polityczna niż ideologiczna. Nastawiano ją na tropienie rzeczy z punktu widzenia władz negatywnych, a nie na odrzucanie tekstów dlatego, że autorzy nie przedstawiają prac dostatecznie pozytywnych wobec ustroju. Trudno też zapewne czytelnikowi wyobrazić sobie cenzurę, która dla utrzymania wizji rzekomo jednolitego myślącego narodu oraz dla eliminacji źródeł alternatywnego myślenia działa bezśladowo i w gruncie rzeczy nie chce działać. Koncepcja cenzury zaś była taka, że w gruncie rzeczy instytucja mieszcząca się w Warszawie przy ulicy

Mysiej nie powinna już mieć nic do roboty w stosunku do tekstów kierowanych do druku. Wszystkie wątpliwe punkty powinny zostać wpiery wyeliminowane przez instytucje, w których teksty powstawały, oraz przez redakcje i wydawnictwa.

Instytut nie przyjął zasady, stosowanej w niektórych placówkach naukowych (nominalnie oczywiście w ramach dbania o poziom naukowy!), zatwierdzania tekstów wychodzących na zewnątrz pod nazwiskiem autora będącego jego pracownikiem. Każdy dawał do druku, co chciał wydrukować. Warto jednak mieć na uwadze, że myśmy chcieli i musieliśmy drukować. Nieraz więc o perspektywie cenzorskiej myśleliśmy — niezależnie od tego, czy rolę cenzury miałyby odegrać Instytut, redakcje, wydawnictwa czy Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. W ramach zdrowego rozsądku pisaliśmy w taki sposób, by „przeszło”, a nie pisaliśmy tak, by nie przeszło — choć w różnych konkretnych sprawach mogło dochodzić i dochodziło do cięć cenzorskich. Nadto trudniej przedstawiały się sprawy, nawet w Instytucie, w wypadku prac zbiorowych czy niektórych instytutowych referatów na konferencje, które z natury rzeczy były dyskutowane. Różnie bywało też z referatami na konferencje międzynarodowe — i tym gorzej, im bardziej oficjalny charakter miała delegacja. Wysyłanie pocztą zagranicę tekstu na konferencję lub do publikacji wiązało się z pewną formą cenzury („zatwierdzania”) w Instytucie. Ze względu na kontrolę celną przesyłek pocztowych (pojęcie kontroli „celnej” często znaczyło w PRL kontrolę policyjno-cenzorską) trzeba było mieć na kopercie maszynopisu pieczętkę Instytutu. Ten brał w takiej sytuacji odpowiedzialność za tekst, a więc musiał dokonać operacji zatwierdzenia go. Nie zapomnę, jak w jakiejś sytuacji wykreślono mi z wysyłanego tekstu informację o klęsce Armii Czerwonej pod Warszawą w 1920 r. Do dziś zastanawiam się, czy uczyniono to w trosce o ochronę tajemnicy wojskowej, czy antycypując punkt o przyjaźni z ZSRR, wprowadzony do konstytucji w 1976 r., czy w trosce o Instytut, o mnie oraz o osobę decydującą, czy w końcu dlatego, że takich brzydkich słów po prostu się nie używa... (Miałem potem pretensje do siebie, że zgodziłem się na zastąpienie tego zdania jakimś mniej wyraźnym, ale odcierpiałem za grzech, gdyż na konferencję wtedy nie pojechałem, a tekst ostatecznie się nie przydał).

Generalnie Instytut — mimo niuansów — sytuował się po stronie autorów walczących z cenzurą, przepychających teksty. Wiele w tym zakresie osiągnięto. Niejednemu autorowi doradzono mniej drastyczne sformułowania, które miały szanse przejścia przy zachowaniu istoty rzeczy. Niejedną sprawę wywalczono. Trudno więc potępić te działania *en bloc*. Jednocześnie miały one cechy nieczyste, obrzydliwe. Choć zabrzmiało to paradoksalnie, nieraz lepiej było mieć do czynienia z zawodowym cenzorem i z jasną decyzją niż z życzliwymi amatorami. Granica między doradztwem w dobrej wierze a *de facto* cenzurą była cienka. Rady najczęściej były ubrane w szatki naukowe, wynikające z dyskusji. Czasem bywały to jednak faktycznie rady „półżyczliwe”. Tworzyły się sytuacje niejasne. Recenzje były „za, a nawet przeciw”, decyzji dotacyjnych nie można

było uzyskać, łatwo pojawiał się wątek za dużej objętości tekstu... Wszystko było mętne. Nieraz autor musiał sam domyślić się, w czym rzecz, i dokonać autoamputacji. Mnie zdarzyło się to z pracą habilitacyjną z najnowszej historii Kuby²³. Zacięła się ona bez dania racji i koniec. Gdy poszedłem do akurat znanego mi ówczesnego wiceprezesa Akademii, to uzyskałem tylko tyle, że w Instytucie zostałem wezwany na dywanik (ba, na dywan) — z pretensją, że przeszedłem ponad głowę mojej władzy i wykorzystuję prywatne znajomości (gorzej: że jakoby wykorzystuję dojścia dzięki pozycji Ojca, profesora UW!). W końcu zrozumiałem, że coś muszę zmienić. Obciąłem jeden, najdelikatniejszy rozdział, skracając wywód chronologicznie. Dla uspokojenia własnego sumienia zmieniłem tytuł, co powodowało, że — jak chcę wierzyć — książka nadal broniła się... i rzecz ruszyła. Oczywiście, nie mogę powiedzieć pod przysięgą, że opory na pewno były polityczne, a ruszyło dlatego, że ustąpiłem. W tym systemie wszystko było tak tajemne, że może po prostu jakieś siły coś odblokowały dla nieznanymi przyczyn. Może wystarczyło, że ukorzyłem się, a wstrzymujący zyskali argument, iż zadziałali. Może w końcu „po prostu” coś ruszyło... bo ruszyło. Czy dziś żałuję dokonanej amputacji? Tak i nie. Pozostańcie tekstu u mnie w szufladzie nic by nikomu nie dało, a czekanie na jeszcze lepsze czasy wydawało się mało realistyczne — nie mówiąc o tym, że rezultaty badań starzeją się. W książce powinien znaleźć się ten obcięty rozdział. Jednocześnie myślę, że — jak wspominałem — i bez niego praca się broniła. Nieskromnie powiem, że może i była nienajgorszą z opublikowanych na temat Kuby w obozie „pokoju i socjalizmu”. Nawet mi wtedy znacząco ścisano rękę z gratulacjami. Inna sprawa, że wszystko to nie uchroniło książki przed stawianiem w księgarniach na półkach z literaturą ideologiczną: traktowała przecież o Kubie! Nawiasem mówiąc, znajomi mówili mi, że dziś osiąga niezłą cenę na allegro (mam nadzieję, że nie jako *curiosum!*).

Formą bliską cenzury była cenzura językowa, której nikt tak nie nazwał, ale która była intensywnie wykonywana — oczywiście poza Instytutem, w wielu redakcjach i przez wielu redaktorów. Nominalnie walczyli oni o poprawność i czystość języka, a faktycznie go ujednolicali, banalizowali i biurokratyzowali. Nie była to, wbrew pozorom, sprawa apolityczna. Miało być jednolicie i brzydko — czy to w kwestii mieszkań, czy poniekąd ubrań, czy w kwestii sformułowań tekstów. By zilustrować owo zagadnienie, podam przykład rodem z tamtych czasów — co prawda, tak ładny, że może fikcyjny. Zastanówmy się mianowicie nad zdaniem „Ogary poszły w las” z *Popiołów* Żeromskiego. Jak wyglądałoby ono po opracowaniu redakcyjnym? Otóż słowo „ogary”, jako archaiczne, zostałyby zastąpione przez „psy”. Słowo „poszły” zastąpiono by przez „pobiegły” — bowiem nawet dziecko wie, że psy nie chodzą, tylko biegają. No i na końcu napisano by „do lasu”, by uniknąć błędu językowego. W ten sposób zamiast cie-

²³ Marcin Kula, *Rewolucja 1933 roku na Kubie*, Ossolineum, Wrocław 1978.

kawego, pełnokrwistego zdania „ogary poszły w las” wyszłoby zdanie „jedynie poprawne”: „Psy pobiegły do lasu”.

Zdarzały się też zmiany systematyczne. Co pewien czas zmieniano nam „Indie” na „India” lub odwrotnie, słowa „przypadek” nakazywano używać jedynie jako terminu gramatycznego itd. W pewnych słowach kazano stosować duże lub małe litery („Partia”, „Kraje Demokracji Ludowej”). Było to oczywiście warunkowane komunistycznym ujednocianiem i arbitralnością. Ta językowa biurokracja nie mogła się uspokoić, dopóki wszystkiego nie ujednociliła i nie zbanalizowała²⁴. Niestety cały ten proceder nie zniknął wraz z upadkiem ustroju i najpewniej nie zniknie, ponieważ niestety mało komu przeszkadza. Tymczasem władzy raz zdobytej nie oddaje się nigdy, przynajmniej dobrowolnie. Deklaracja Gomułki w tej kwestii pozostaje wciąż aktualna wśród „poprawiaczy”, choć w 1989 r. przestali ją stosować nawet spadkobiercy b. I Sekretarza. Na dodatek, jak za PRL, wielu piszących tylko marzy, by im ktoś poprawił ich marne pisarstwo, a nieraz wręcz sądzi, że nadanie ostatniego szlifów to sprawa redaktora. Niektórzy, nawet dobrze piszący, zrozumieli, że nie warto się trudzić, skoro redaktor i tak napisze swoje na górze.

Pozostawaliśmy także pod różnie realizowaną kontrolą polityczną. Oczywiście władze miały zasadniczy wpływ na obsadę instytucyjnych stanowisk funkcyjnych. Uważały, by nie mogły zdarzyć się niespodzianki w głosowaniach w Radzie Naukowej. Inna sprawa, że z czasem okazało się, że nawet na członków PZPR tam obecnych nie zawsze mogły liczyć.

Władze zatwierdzały uzyskane w Instytucie doktoraty i habilitacje oraz, rzecz jasna, nadawały profesury. Zapamiętałem jako częste opóźnianie zatwierdzeń, a także nieuzasadnione — a raczej w oczywisty sposób uzasadnione politycznie — czekanie kolegów na profesury. Dziś bardzo trudno jest zbadać te sprawy. Przy zatwierdzaniu mojego doktoratu pewien wybitny naukowiec (szkoda, że w tym wypadku naprawdę wybitny!), a poza tym niestety „marcowiec”, zaczął coś mówić przeciw mnie. Przypuszczam zresztą, że wyładowywał się nie tyle na mnie, ile na mojej rodzinie i środowisku. To był znakomity czas na wyładowywanie frustracji i zawiści. Po latach, gdy z jakichś powodów zasiadłem nad zarchiwizowanymi aktami CKK²⁵, z pewną małością — przyznaję — sięgnąłem między innymi po swoją sprawę. Chciałem poznać tę mowę... ale nic nie znalazłem. Z całych akt pozostała jedynie decyzja zatwierdzająca doktorat. Jestem pewien, że zapis obrad, który niewątpliwie czyniono, zniknął nie z powodów politycznych, lecz na skutek niemądrych kryteriów brakowania akt stosowanych w polskich archiwach państwowych.

Elementem kontroli Instytutu była Podstawowa Organizacja Partyjna (POP), czyli instytucyjowa komórka PZPR oraz jej sekretarz. Warto pamiętać, że

²⁴ Por. Marcin Kula, *System dla miernot*, „Res Publica” 1988, nr 5, s. 144–145.

²⁵ Centralna Komisja Kwalifikacyjna przy Prezesie Rady Ministrów, obecnie Centralna Komisja do spraw Stopni i Tytułu Naukowego.

w PRL sekretarze dzielili się na takich, którzy pisali (najczęściej sekretarki), i takich, którzy zarządzali (najczęściej mówiono o nich w formie męskiej, nawet gdy osoba była kobietą). Ponieważ sam nigdy nie byłem członkiem partii, a bliżsi koledzy-członkowie już wtedy zdążyli wystąpić z jej szeregów, niewiele wiem o instytutowej POP. Charakterystyczne dla okresu było jednak to, że wtedy już można było o niej nie wiedzieć, wręcz można było mało dostrzegać to ciało. Nie wiem nawet, ilu członków liczyła partia w Instytucie i jak dużą część „załogi” oni stanowili. Nie wiem, ilu było członków istotnie znaczących w nauce. Nie wiem, co myśleli członkowie partii o swojej, partyjnej roli. Podejrzewam, że oni sami przywiązywali już wtedy wagę przede wszystkim do *realpolitik*. Najpewniej uważali, że panujący ustrój to jedyne wyjście dla Polski. Podejrzewam, że wielu z nich za niedoceniając szczęścia niesionego przez ustrój w gruncie rzeczy powinno w tym czasie stanąć przed Komisją Kontroli Partyjnej.

Jedno, co wiem o partii w Instytucie, to to, że w moich czasach sekretarze POP najczęściej już nie byli znaczący w niepisanej hierarchii naukowej i koleżeńskim Instytucie. Mieli jednak coś do powiedzenia na szczeblu dyrekcyjnym. W końcu nieprzypadkowo ciało kierujące Instytutem nie nazywało się dyrekcją (dyrektor plus wicedyrektorzy), ale „kolegium”. W tym wypadku słowo „kolegium” nie przyszło do nas z łaciny, a przynajmniej nie bezpośrednio z łaciny — lecz poprzez język rosyjski. Kolegium obejmowało również „czynnik społeczny”, pozadyrekcyjne czynniki naukowe (Komitet Nauk Historycznych) i bo ja wiem kogo jeszcze. Jednocześnie był pewien czynnik, który ograniczał wagę POP oraz jej sekretarza w Instytucie. Za dużo było w tej placówce osób utytułowanych, mających bezpośredni dostęp do Wydziału Nauki KC, czasem wręcz wchodzących w skład Sekcji Historycznej Komisji Nauki KC, by miejscowe siły partyjne były istotne jako czynnik samodzielny. Odnosiłem wrażenie, że stanowiły raczej popychadło. Jakiś wpływ mogły oczywiście mieć, ale to nie była potęga na podobieństwo organizacji partyjnej na przykład Huty Lenina, której szef był najpewniej silny nawet wobec kierownika odpowiedniego wydziału KC, o ministrze nie mówiąc. Nie była to też rola podobna do roli POP w drugorzędym przedsiębiorstwie, gdzie miejscowy sekretarz był partnerem dla lokalnych komitetów partyjnych z uwagi na nikłe znaczenie dyrektora.

Co nie najmniej ważne, byliśmy kontrolowani policyjnie²⁶. Przypuszczam, że z natury rzeczy instytutowy Dział Kadr współpracował z SB. Kiedyś nazywał się nawet „Samodzielnym Referatem” — przy czym nikomu nie przychodziło do głowy zapytać, w stosunku do kogo był on samodzielny. Ów dział wykonywał oczywiście wszystkie banalne funkcje komórki służby pracowniczej. W 1968 r. to on realizował jednak na przykład kontrolę dyplomów wybranych

²⁶ *Spełnana Akademia. Polska Akademia Nauk w dokumentach władz PRL. Materiały Służby Bezpieczeństwa (1967–1987)*, t. 1, wybór, wstęp i oprac. Patryk Pleskot, Tadeusz Paweł Ruzikowski, IPN, Warszawa 2009; *Stłamszona nauka? Inwigilacja środowisk akademickich i naukowych przez aparat bezpieczeństwa w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku*, Piotr Franaszek (red.), IPN, Warszawa 2010.

osób. Niektórym kolegom — oczywiście nieprzypadkowo dobranym — kazano nagle przynieść do wglądu oryginały dyplomów. Późniejszy emigrant, Łukasz Hirszowicz, pokazał nam swój dyplom, który właśnie niósł do kadr, z diabelskim uśmiechem: „No, ja im pokażę!” — i tu rozwinął dyplom Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie (studiował akurat tam, rzucony zapewne przez wojenny los).

Wszystko wskazuje, że donosiciele było w Akademii mniej, niż mogłoby wynikać z całego współczesnego hałasu o tajnych współpracownikach SB. W ciągu lat, jakie upłynęły od otwarcia materiałów, nie pojawiły się poważniejsze niespodzianki co do ludzi, którzy się ześwinili w ten sposób. Przynajmniej o ile mnie wiadomo, osoby cieszące się powszechnym szacunkiem nie okazały się szmatami. Oczywiście ocena, kto cieszy się szacunkiem, jest z natury subiektywna, więc może nie mam racji²⁷. Czasem esbecka kontrola była też wykonywana zupełnie prymitywnie. Kiedyś zauważyliśmy, jak jedna z sekretarek przedstawiła sobie biurko, by lepiej słyszeć, co się mówiło w dyrektorskim gabinecie — choć oczywiście ona podała by inne wytłumaczenie owego przemeblowania (może jednak prawdziwe, któż to wie?).

Niezależnie od stopnia przeszcpiclowania i stosowanych metod aparat UB/SB ze swymi lepiej lub gorzej usytuowanymi tajnymi współpracownikami funkcjonował przez cały okres Polski Ludowej. Po 1956 r. został zresetowany przez złagodzenie największych drastyczności, ale przy pozostawieniu całej zasadniczej struktury i mechanizmów, którymi kierowali wciąż zdumiewająco ci sami ludzie. Usunięcie ślepego terroru, eliminacja tortur jako systematycznego narzędzia działania i częste zastąpienie przesłuchania przez rozmowę w kawiarni — wszystko to pozwoliło nawet paradoksalnie na zbieranie większej liczby informacji. Czasem szło też o więcej niż o same informacje — także w Instytucie. Najpewniej to ludzie związani z SB potrafili spowodować na przykład odmowę zgody na wywiezienie własnych notatek wspomnianemu, z czasem emigrującemu Łukaszowi Hirszowiczowi. Bez aprobaty Instytutu nie mógł on zalegalizować ich wywozu w Urzędzie Celnym.

O działaniach donosicieli można łatwo przekonać się dziś z akt SB. Niektóre robią wrażenie²⁸. Dziś w ich świetle źle mogą czuć się nie ci, którym

²⁷ Dotychczas w druku ukazały się informacje o profesorach Janie Borkowskim, Andrzeju Feliksie Grabskim oraz o Ludwiku Hassie jako o tajnych współpracownikach (por. Andrzej Friszke, *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*, Znak, Kraków 2010; Sławomir M. Nowinowski, *Andrzeja Feliksa Grabskiego żywoty równoległe*, „Aparat represji w Polsce Ludowej. 1944–1989” 2007, nr 1/5, s. 234–269; Tadeusz Paweł Rutkowski, *Jan Borkowski — kontrowersyjny historyk ruchu ludowego*, w: *Stłamszona nauka?*, cyt. wyd., s. 288–323). Funkcjonowanie Jana Borkowskiego oraz Ludwika Hassa w tym charakterze nie okazało się jednak ani zaskoczeniem, ani przykrością, jaką byłoby podjęcie się takiej roli przez osoby powszechnie cenione. Dla mnie samego najbardziej niespodziewane i przykre było zachowanie Andrzeja Feliksa Grabskiego, przy małości kierujących nim motywów, jakie dają się wydedukować z akt.

²⁸ Por. np. „Notatkę inspektora Wydziału IV Departamentu III MSW kpt. Leszka Budzikowskiego z doniesienia źródła ps. «Stanisław», dotyczącą sytuacji w Instytucie Historii PAN w dniu 11 marca

autorzy chcieli wystawić złą opinię, ale ci, których chwalili. Nie jest zresztą powiedziane, że ci koledzy zawsze zasłużyli na taką pochwałę; mogli być porządnyimi ludźmi, jak zapewne byli nimi ci krytykowani. Same te donosy to za mało dla oceny jednych i drugich. Kontrowersje o ocenę ich wartości źródłowej będą się ciągnąć, a rozstrzygnięcie nie musi być jednakowe dla całości akt. Dla niniejszego wywodu istotne jest wszakże to, że z punktu widzenia takiego jak ja, szeregowego pracownika czynnik przeszcpiclowania był już wtedy mało brany pod uwagę. W granicach PRL-owskiej normy (zwłaszcza normy w zakresie umiarkowania głośnego krzyczenia oraz normy co do „wychylania się”) zachowywaliśmy się na co dzień normalnie. Wbrew temu, co się dziś często mówi, nie była to sytuacja jak za okupacji. Może dałoby się ją porównać z częstym poruszaniem się obecnie pod okiem kamer. Wiemy o nich, ale nie mają one wpływu na nasze przeciętne zachowania. Stalinizm wymagał przynajmniej udawanego poparcia i był uczulony na jego brak, a cóż dopiero na odstępstwa; w czasach, o których mowa, wystarczyło „nie wychylać się” przesadnie (a to była wielka różnica!). Wręcz po wprowadzeniu stanu wojennego stopień zaufania nas, pracowników, nawzajem do siebie był duży, zapewne nawet za duży. Wtedy zresztą wzmocnił się — jak w ogóle związki ludzi wówczas, czego gen. Jaruzelski chyba w ogóle nie brał pod uwagę w swojej strategii.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych i po 1981 r. wielu spośród pracowników brało udział w działaniach nielegalnych i półlegalnych, także w organizowaniu pomocy dla prześladowanych. Bardzo wielu wiedziało, w którym biurku leży „bibuła” i kto nią dysponuje. Można powiedzieć, że za wielu wiedziało²⁹. Pamiętam scenę, jak to spotkałem na korytarzu kolegę z innego miasta, o którym wielu z nas wiedziało, że się ukrywał. Kolega musiał zdawać sobie sprawę, że wielu pracowników jest świadomych jego sytuacji. Skoro przyszedł do Instytutu, to widać był przekonany, że nikt nie doniesie. Inna sprawa, że mógł być po prostu nieodpowiedzialny, jak wówczas wiele osób zaangażowanych w kontestację i podziemie.

Dziś koledzy, pracujący nad prześwietlaniem PAN przez „tarczę i miecz” partii, przynoszą mi jakiś raport SB z 1984 r., gdzie występuję w zaszczytnym dla mnie towarzystwie ludzi przeze mnie cenionych, a źle notowanych politycznie³⁰. Zaskakuje mnie ten raport. Wychodzę w nim na „bohatera mimo woli”, podczas gdy trudno mi poczuwać się do takiej roli. Ta ocena może być jeszcze jednym dowodem — jeśli ich trzeba — jak to wszystko było arbitralne

1968 r.”, w: *Marzec 1968 w dokumentach MSW*, t. 2: *Kronika wydarzeń*, cz. I, red. i wstęp Franciszek Dąbrowski, Piotr Gontarczyk, Paweł Tomasiak, wybór Franciszek Dąbrowski, Paweł Tomasiak, Cyprian Wilanowski, oprac. Piotr Byszewski i in., IPN, Warszawa 2009, s. 670–675. Dziękuję prof. Tomaszowi Szarocie za zwrócenie uwagi na ten dokument.

²⁹ O przejrzystości tej konspiracji w IBL PAN analogicznie mówi Michał Głowiński (*Kręgi obcości*, cyt. wyd., s. 430–431).

³⁰ *Spełnana Akademia*, cyt. wyd., s. 477.

i absurdalne zarazem. Mało jednak przeszkadzała mi ona, bowiem nie zdawałem sobie nawet z niej sprawy.

Mówią mi dziś koledzy, że w jakimś momencie wstrzymano mi paszport. Ja jednak o tym nawet nie wiedziałem; pewno akurat wtedy nie zamierzałem wyjeżdżać. Pojawiłem się na liście 35 „niebezpiecznych” uczestników zjazdu socjologicznego w 1977 r. w Krakowie, co mnie honoruje, ale co było tym bardziej bez sensu, że w tym zjeździe nie uczestniczyłem (jeśli dobrze pamiętam, wstępnie miałem uczestniczyć i pewno stąd ten honor)³¹. Z okazji zjazdu historyków w Katowicach (1979) pojawiłem się na liście osób przewidzianych do ulokowania w pokoju hotelowym z podsłuchem³². Na dodatek pojawiłem się na tej liście honorowej na doprawdy już niezasłużonym pierwszym miejscu. Pamiętam ten zjazd i ulokowanie mnie w hotelu. Byłem zdziwiony, że zostałem potraktowany znacznie lepiej od kolegów o podobnym statusie zawodowym. Nawet żałowałem, że z powodu odległości kwater nie mogłem umówić się z nimi na jakieś wino. Wytłumaczyłem sobie, że organizatorzy pewno pomylili mnie z Ojcem, którego status tłumaczyłby ulokowanie lepsze niż w akademiku. Jeśli jednak uznać danie lepszego pokoju i łóżka w hotelu za formę represji, to wszystko nabiera cech farsy. Prawda, że przy zwiedzaniu kopalni, co zostało nam zafundowane jako najciekawszy punkt programu tego zjazdu (najciekawszy, sądząc ze statystyki słyszanych potem wspomnień uczestników), zadałem oprowadzającym parę politycznie niewygodnych pytań. Może więc *ex post* uzasadniłem obawy SB? (sic!).

Tylko raz, wcześniej, w 1976 r., miałem podejrzenia, że pominięto mnie w nominacjach z powodu niedostatecznie dobrej opinii politycznej. Z pewnych przesłanek mogło wynikać, że to mnie powinno przypaść kierownictwo zespołu, z którym byłem związany. Powierzono je innemu koledze. Skąd jednak można mieć pewność, że zadziałały przyczyny polityczne? Może kolega po prostu bardziej nadawał się do takiej funkcji? Może pojawiły się jakieś czynniki osobiste, niezależne od ustroju? Nawet w PRL nie wszystko dawało się sprowadzić do polityki. Nie wszystko było polityką — nawet jeśli nieraz tkwiła ona w podtekście wielu spraw pozornie odległych. Oczywiście nikt wówczas z nami nie rozmawiał w takich sprawach jak kierownictwo zespołu. Wszystko było niejasne („ciemno wszędzie, głucho wszędzie...”). Najważniejsze jednak jest co innego: czy ten brak powierzenia funkcji w czymkolwiek mi wtedy zaszkodził? Dokładnie w niczym. Ani przedtem, ani wówczas, ani potem nie zmierzałem do funkcji kierowniczych. Skądinąd rozumiem kolegów, którzy mają na nie ochotę bądź w ich objęciu widzą swój moralny obowiązek. Zawsze życzę im sukcesów.

³¹ Paweł Spodenkiewicz, *Lokatorzy hotelu Cracovia. Inwigilacja uczestników V Zjazdu Socjologicznego w 1977 r.*, w: *Stłamszona nauka?*, cyt. wyd., s. 214.

³² Dziękuję za informację dr. hab. Tadeuszowi P. Rutkowskiemu.

BAZA I NADBUDOWA ZAWALIŁY SIĘ ZGODNIE

Przedstawiłem chronologicznie i rzeczowo obraz PRL, wycinkowy, dotyczący specyficznego miejsca pracy i środowiska, które nawet w PRL traktowano trochę na prawach wariata. Władze musiały nieco się z nim liczyć. Miało ono pewną siłę opiniotwórczą, miało także znajomych. Jego położenie i opinie odgrywały rolę w postrzeganiu kraju zagranicą. Represje typu „wielkiej czystki” mogły je oczywiście złamać, ale nawet w najgorszych momentach to już nie był czas takich działań. Zarysowany obraz z pewnością nie jest reprezentatywny dla całego społeczeństwa polskiego.

Łatwo zauważyć, że moja ocena PRL-owskiej rzeczywistości w obserwowanym czasie i zakresie jest zniuansowana. Nie powinno to zaskakiwać. Zawsze starałem się patrzeć w sposób krytyczny, ale analityczny, zatem zniuansowany. Nie muszę więc dokonywać gwałtownego i mało tłumaczącego się zwrotu, jakiego dokonał Jarosław Kaczyński podczas kampanii prezydenckiej 2010. Zapewne dla potrzeb tej kampanii i po to, by przejąć elektorat, który w pierwszej turze głosował na Grzegorza Napieralskiego, zniuansował on głoszoną ocenę Edwarda Gierka. Ponieważ przez poprzednie lata kultywował w swoim środowisku obsesyjnie i jednolicie czarny obraz upadłego ustroju, posunięcie zaskakiwało. Oczywiście polityk, jak każdy człowiek, ma prawo zmienić zdanie. Pozostaje tylko zauważyć, że pochwała Edwarda Gierka akurat za dążenie do stworzenia silnej Polski, jak to uczynił Kaczyński, mnie trudno przeszła przez gardło (pochwała za pomysł zbudowania polskiej wyspy dla połowów kryła na Antarktydzie, za order VM dla Leonida Breżniewa, za wprowadzenie przyjaźni z ZSRR do konstytucji?!).

Komunizm był niewątpliwie zły. Nawet gdy był relatywnie łagodny, jak za Gierka, był zły dla przyczyn, których wyliczanie dziś już nie byłoby odkryciem. Na dodatek nie miał wbudowanego mechanizmu samonaprawczego, raczej przeciwnie. Nie było wszakże tak, jak napisał mi w odpowiedzi egzaminacyjnej w roku akademickim 2009/2010 pewien student. Miał on podać „przykłady okresów lub (i) sytuacji dużej ruchliwości (mobilności) społecznej pionowej”. Odpowiedział: „Przykładem może być tutaj rok 1989 w którym to obalony komunizm dał początki mobilności pionowej w strefie zawodowej. Za czasów komunizmu na najwyższych szczeblach zawodowych byli obsadzani sami rosjanie lub osoby z nimi ściśle współpracujące. Po roku 1989 każdy miał szansę na awans”³³.

Oczywiście nikt takich bzdur temu chłopakowi nie powiedział. On jednak nie sam z siebie wie to, co wie. On przecież jedynie wyjaskrawił wyjątkowo uproszczony obraz funkcjonujący obiegowo, występujący w propa-

³³ Zachowana pisownia oryginału. O podobnie karykaturalnym obrazie PRL wśród swoich studentów pisze Magdalena Środa, *Mój PRL*, „Wprost”, 1 sierpnia 2010.

gandzie, także lansowany w ramach dotychczasowej „polityki historycznej”. Uproszczenie jest wygodne, ponieważ oszczędza trudu myślenia, wielu ludziom poprawia samopoczucie (wszyscy i zawsze cierpieliśmy), a w konkretnych sytuacjach pozwala dyskredytować przeciwników. Karykatury są jednak dobre w kabaretach lub (i) czasopismach satyrycznych, a nie w publikacjach naukowych, publicystyce i dydaktyce. Karykatura ośmiesza uzasadnioną krytykę. Przedstawienie PRL w jednolitej i ostro czarnej tonacji w odniesieniu do całego okresu jej istnienia jest farszą i uniemożliwia sensowną analizę, która i tak będzie krytyczna — bo inna być nie może. Przedstawianie wszystkiego w barwach sady utrudnia też zrozumienie dalszego biegu wydarzeń. Ewolucja PRL bardzo je przecież ułatwiła — zarówno od strony rodzenia się kontestacji, jak i od strony ustępowania pola przez ówczesny establishment. Okoliczność, że bilans działania polskich historyków w zakresie tworzonej przez nich (przez nas) historiografii oraz poziomu studiów historycznych był, mimo wad, relatywnie niezły, stanowiła część tych procesów. Była zarazem jednym z ich skutków oraz jedną z przyczyn.

DID WE SOAK UP COMMUNISM?
MÉMOIRE RAISONNÉ OF A HISTORIAN ABOUT HIS FORMER WORKPLACE

Summary

The author analyses the problem of soaking up, or internalising, communism in the times of the Peoples' Republic of Poland (PRL) and claims that it constitutes a fascinating, though difficult, field of research. In order to impose some limits on the problem and make its analysis feasible, he uses his memories from his former workplace from the communist times, as a starting point for a study of manifestations of communism in everyday life. Paraphrasing the language of communist propaganda, the author analyses the title question in terms of mutual influences of “the base” (i.e. The History Institute and its institutional surroundings) and “the superstructure” (i.e. the faculty, and life histories of some of its members). He asks what was the influence of the *milieu* on the quality and scope of research conducted in the Institute. While the author asserts that communism was undoubtedly wrong, he also maintains that presenting a uniformly bleak view of the period makes it impossible to conduct rational analysis. For example, it makes it difficult to make sense of the last days of the regime, the birth of opposition, or the fact that the establishment was gradually giving way and losing ground. The author claims that, in spite of all their faults, the final appraisal of the activity of Polish historians is not unanimously negative. Their activity constituted a part in the historical processes unfolding around them, being at the same time one of its causes and its effect.

Key words/słowa kluczowe

the latest history of Poland / najnowsza historia Polski; historians and Polish historiography / historycy i polska historiografia; social consciousness / świadomość społeczna